ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.

Nr. 8 22. II. 1936 R.



w numerze:

BARBARA KARCZMAREWICZ
primaballerina Opery Warszawskiej
w wyróżnione na Balu Mody
estetycznej toalecie w stylu greckim
z firmy
M. MAŁACHOWSKA, Wilcza 11 m 5.
(fot. Bil, Warszawa)



Nagrania krajowe

Z wielką radością zaczynam dzisiejszą recenzję. Znowu jeden stopień wyżej w poziomie produkcji krajowej — tym razem w dziedzinie muzyki poważnej. Przyznam się, że spojrzawszy na etykietki przysłanych płyt, przestraszyłam się nie na żarty: Moniuszko, Statkowski, Noskowski. co ja dobrego o tem napiszę; wyobrażam sobie, jakie okropne będzie brzmienie.

Tymczasem już po pierwszych dźwiękach przyjemne rozczarowanie. Nagranie jest doskonałe. Na dobrym patefonie, przy zastosowaniu adaptera na głośnik radjowy można mieć złudzenie koncertu symfonicznego w Filharmonji (naturalnie zamknąwszy oczy).

Duży zespół i umiejętne rozplanowanie instrumentów przy nagrywaniu sprawiły, że brzmienie jest nadzwyczaj pełne, a jednocześnie wszelkie solowe głosy wychodzą jasno i czysto.

Orkiestra Filharmonji Warsz. pod dyr. Olgierda Straszyńskiego nagrała Moniuszki uwerturę do opery „Flis", do opery „Marja" Statkowskiego i Noskowskiego Antrakt z III-go aktu opery „Liwja Quintilla".

Bardzo trafny wybór utworów wartościowych a mało znanych przyczyni się do ich spopularyzowania. „Antrakt" Noskowskiego o szeroko zarysowanej linji melodyjnej ma w sobie wiele szczerego uczucia i liryzmu. Może najmniej szczęśliwy jest wybór Mazura A-dur Młynarskiego.

* * *

Bardzo miło śpiewa Fogg dwa tanga: Brodsky'ego „Zakochana królewna" i Golda „Szkoda twoich słów" (raczej szkoda uszu na słuchanie tak niemądrych słów i melodji przypominającej dawne tango „Szkoda twoich łez dziewczyno").

Aston pozazdrościł Foggowi „Siemeczek" i naśpiewał 2 foxtroty.

Foxtroty te są świetne, rytmiczne, pełne werwy i życia, tylko właśnie Aston przeszkadza, przeciągając nuty i hamując tempo. Na foxtrocie „Gdy ktoś swą gwiazdkę ma" Aston trochę się wprawił, bo „W Paryżu" śpiewa dużo lepiej. No a najlepiej zwykłe tanga: „Jak sen" i „Bądź moją chociaż we śnie". Tutaj znowu walc ma coś do powiedzenia — melodja refrenu wyraźnie ma rytm na 3; orkiestra ma bardzo ciekawe i efektowne sola różnych instrumentów.

Mistrzem urywanej i synkopowanej melodji foxa-polki jest Dymsza, który nie pięknym głosem (bo go nie posiada), lecz akcentem, świetną dykcją, swoistą interpretacją najzaciętszych przeciwników foxtrota zmusi do kapitulacji. Dymsza śpiewa foxa Warsa „A u mnie siup, a u mnie cyk" z nowego filmu „Dodek na froncie" oraz piosenkę Dana „Marysia".

Wraz z filmami niemieckiemi przyszły do nas także utwory muzyki tanecznej. Słucham tang niemieckich i chcę znaleźć w nich coś charakterystycznego, coś, coby odróżniało je od ognistych tang argentyńskich — pełnych czaru i słodyczy włoskich lub sentymentalnych polskich. Nic specjalnego w nich nie dostrzegam. Są nagrywane w bardzo szybkiem tempie; budowa poprawna, dość melodyjna, pozatem nic. Refreny śpiewa miłym głosem jakiś tenor. Może najcharakterystyczniejszy jest miarowo akcentowany akompanjament fortepianu i jazzu. Typowe płyty do tańca. Są to: „In einer kleinen Stadt" i „Regentropfen" (dobrze naśladowane w orkiestrze krople deszczu) oraz „Mariètta" i „Von meiner Heimat hab ich geträumt".

Nagrania zagraniczne

Orkiestra Filharmonji londyńskiej pod dyr. H. Harty nagrała wspaniale „Divertissement" D-dur Mozarta. (Columbia). Płyty te cechuje doskonały dźwięk, równość brzmienia poszczególnych instrumentów, wiele finezji, zręczności i wesołości.

Na płycie Gramophone Artur Rubinstein popisuje się swą niemal ekwilibrystyczną techniką w Toccacie C-dur Bacha, przerobionej na fortepian przez Busoniego.

Również na Gramophone mamy efektowną „Rapsodję Hiszpańską" Ravela w błyskotliwem wykonaniu orkiestry filadelfijskiej pod dyr. Stokowskiego.

Znana diseuse Lys Ganty świetnie interpretuje dwie nowe piosenki „Obsession" i „Au revoir, bon voyage" (Polydor).

Bracia Mill's imitują wszelkie instrumenty jazzowe z niesłychaną zręcznością w piosenkach „Fiddl'm Joe" i „Phat's George" (Brunswich). Płyta dość oryginalna, lecz muzycznie mało wartościowa.

Znamienny znak czasu

W operze w Chicago od dłuższego czasu mimo doskonałych sił sala rzadko była zapełniona. Dyrekcja wpadła na oryginalny pomysł, który okazał się dla teatru bardzo korzystny. Intendent słusznie zauważył, że opera pociąga więcej panie, więc aby zainteresować panów towarzyszących otworzył w gmachu opery sale bridge'owe. Podczas gdy panie rozkoszują się grą na scenie, ich towarzysze zabawiają się grą przy zielonym stoliku.

Prawo do gry mają tylko stali abonenci. Obecnie przedstawienia operowe cieszą się wielkiem powodzeniem.

Trudno komentować tego rodzaju sposoby przyciągania ludzi do teatru. Może to jest jeden ze sposobów nowoczesnej reklamy? Dziwne jest tylko, że p. Korolewicz - Waydowa nie wpadła jeszcze na ten pomysł.

Pewnie niedługo jednak ujrzymy takie afisze: Premjera opery Beethovena „Fidelio" w znakomitej obsadzie... obok zaś „Wielki konkurs bridge'owy z cennemi nagrodami. Zwycięzca otrzyma całoroczny abonament do opery i sal bridge'owych na 2 osoby". Byłoby to w stylu naszej reprezentacyjnej opery.

H.

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXXI. Nr. 8 22. II. 1936

Z OLIMPJADY ZIMOWEJ W GARMISCH-PARTENKIRCHEN



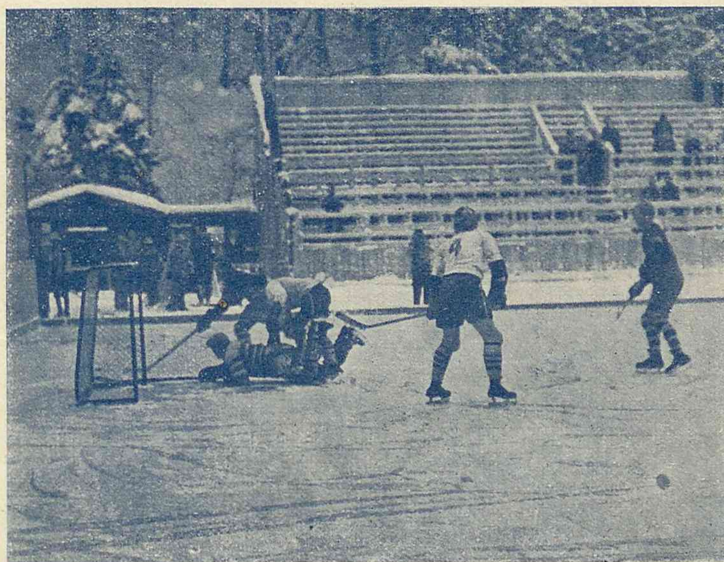
Przed olimpjadą, wobec niepewnej pogody, z ogromnym nakładem pracy setek ludzi zwożono śnieg na skocznie i bieżnie.



Uroczysta defilada sportowców podczas otwarcia zimowej olimpjady w Garmisch.



Rumuńska ekipa bobsleyowa w czasie próbnych zjazdów.



Mecz hokejowy Kanada—Polska zakończony wynikiem 8:1.

WACŁAW OLSZEWICZ.

Tranzyt niemiecki przez Polskę.

W czasie gdy najbardziej drobiazgowe analizy naszego budżetu zmierzają do wykorzystania wszelkich źródeł dochodu i poczynienia daleko sięgających, rzec można bolesnych, oszczędności i redukcyj, opinję publiczną głęboko poruszyła wiadomość o istnieniu długu niemieckiego w wysokości kilkudziesięciu miljonów złotych, które wzbrania się nam zwrócić rząd Rzeszy, rzekomo z obawy o skutki dla swej waluty.

Dług ten powstał z tytułu przewozu niemieckich pasażerów i towarów pomiędzy Prusami Wschodniemi i resztą Niemiec przez terytorjum naszego Pomorza. Przewozom takim zapewnił Traktat Wersalski traktowanie uprzywilejowane i zakreślił ramy porozumienia pomiędzy Polską i Niemcami, następnie zaś w drodze bezpośrednich rokowań między obu rządami porozumienie to zostało osiągnięte w formie Konwencji Tranzytowej, zawartej w Paryżu dn. 21 kwietnia 1921 r. i uzupełnionej następnie szeregiem dalszych układów.

Cały ten kompleks umów ma formę tekstów dyplomatycznych dwustronnych, dziwnie jednak jednostronne przynosi korzyści. Stroną wybitnie uprzywilejowaną są Niemcy, którym Polska poczyniła szereg ustępstw, sięgających znacznie dalej, niż ramy, przepisane przez Traktat Wersalski.

Z położenia geograficznego Polski wynika wielkie znaczenie jej kolei dla tranzytu towarów między Północą i Południem, między Wschodem i Zachodem. Około pół miljona ton towarów zagranicznych przebiega miesięcznie przez Polskę, tysiąc bezmała wagonów dziennie. Jesteśmy w tym tranzycie zainteresowani, jego powiększenie jest przedmiotem starań i zabiegów P. K. P., niejedna kosztowna inwestycja została dokonana w celu stworzenia dla tranzytu przez Polskę jaknajdogodniejszych warunków. Specjalnie sumiennie opracowano technikę tranzytu dla Prus Wschodnich. Tu już nie przesyłki indywidualne są przedmiotem tranzytu, nie wagony, ale całe zwarte pociągi. Pasażer niemiecki przejeżdża przez Polskę, nie odczuwając faktu opuszczenia granic Rzeszy; nie jest nawet rewidowany. Towar niemiecki nie ulega przeładowaniu ani badaniu. Pociągi tranzytowe uprzywilejowane mogą korzystać z *wszystkich* linij, przecinających województwo pomorskie. Wszelkie więc twierdzenia publicystyki niemieckiej o pogorszeniu się komunikacji między Królewcem a Berlinem są bezpodstawne i kłamliwe. Ostatecznie i rzeczowo odpiera je jedno z ostatnich wydawnictw Instytutu Bałtyckiego w Toruniu.

Jakby w przewidywaniu, że temat stanie się aktualny i że zainteresuje szerszy ogół, już przed kilku miesiącami wydał Instytut — jako XXII tom swego „Pamiętnika" — cenną pracę W. J. Piaseckiego p. t. „Tranzyt niemiecki przez Polskę". Obszerny tom zawiera pracowite zestawienie treści wszystkich umów polsko-niemieckich w tej dziedzinie, przedstawia głosy publicystów Rzeszy i rozprawia się z ich bałamutną argumentacją. Warto do dzieła tego sięgnąć dzisiaj i sprawdzić stan rzeczy istotny.

Niemcy twierdzą, że pociągi tranzytowe mają przebieg powolny. Piasecki zestawia przeciętną szybkość pociągów osobowych i pośpiesznych tranzytowych z taką szybkością pociągów, kursujących wewnątrz Niemiec. Źródłem tego jest *urzędowy rozkład niemiecki*. Co się okazuje? Że pociąg tranzytowy pośpieszny ma przeciętną szybkość 66,5 klm. na godzinę, a — z wyjątkiem jednej linji Berlin — Hamburg — najlepsza przeciętna dla wewnętrznego przebiegu w Rzeszy — to 66 klm. Szybkość tranzytu towarowego jest stosunkowo jeszcze lepsza.

Podrożenie kosztów tranzytu, podnoszone przez prasę niemiecką, nietylko nie może być stwierdzone, jak Piasecki udowadnia, ale wręcz przeciwnie: tranzytowe stawki przewozowe są dla Prus Wschodnich dogodniejsze, aniżeli dla takiego samego przebiegu kilometrowego wewnątrz Rzeszy.

Tymczasem trudności powstają dopiero obecnie i nie z naszej winy. Nie otrzymując oddawna zapłaty za ruch tranzytowy, zmuszony do ponoszenia bieżących jego kosztów (opału, obsługi i t. d.). Rząd Polski znalazł się w położeniu przymusowem i musiał z dn. 7 lutego b. r. ograniczyć liczbę pociągów tranzytowych. Zaraz w prasie niemieckiej pojawiły się głosy o pokrzywdzeniu interesów niemieckich w Konwencji Tranzytowej Paryskiej i w jej wykonaniu przez nasze koleje. Jakże żałować należy, że dzieło W. J. Piaseckiego nie wyszło po niemiecku! Nie mogłyby wówczas dzienniki niemieckie zasłaniać się nieznajomością faktów, które wbrew ich głosom świadczą, jak daleko koleje polskie poszły w swych ustępstwach. Czy nie ciekawa jest np. wiadomość, którą zawdzięczamy Piaseckiemu, o traktowaniu kolejarzy niemieckich i ich rodzin przez P. K. P.? Czy nie przyznały im one *bezpłatnego* przejazdu przez polskie terytorjum, ulgi, z której nie korzystają nasi kolejarze i ich rodziny?

Wyraźne postawienie sprawy przez nasz Rząd, stworzenie faktu dokonanego przez zarządzenie o ograniczeniu ruchu tranzytowego do zakresu, ustanowionego przez Traktat Wersalski, daje nam poza uniknięciem dalszych strat również korzyść polityczną: zmuszając Niemców do użycia innych dróg, niż polskie Pomorze (mianowicie morskiej do Królewca), zyskujemy nowy dowód istnienia tych innych dróg i bezpodstawności niemieckich żądań rewizji granic w dolinie dolnej Wisły. Wyjątkowo dogodne warunki, stworzone przez P. K. P. dla tranzytu, umożliwiły Niemcom w komunikacji z Prusami Wschodniemi pomnożenie wysyłek, które niemal wszystkie kierowano na nasze koleje. Ale nawet z takiem sztucznem pomnożeniem ilość transportów niemieckich przez terytorjum Pomorza jest kilkakrotnie mniejsza od ilości towarów przez to terytorjum w komunikacji między naszemi portami i całym krajem. Przedstawiła to w interesujących wykresach P. W. K. w Poznaniu w r. 1929, a liczby z lat następnych tę sytuację potwierdzają. Swoim i obcym przedstawia ją w swych pięknych publikacjach Instytut Bałtycki, który — z dr. J. Borowikiem na czele — dobrze zasłużył się wydaniem pracy J. W. Piaseckiego. Czy jednak praca ta powinna być wydana tylko w języku polskim? Czyż nie należałoby wydać jej w przekładzie angielskim? Sprawa tranzytu stanie się, musi się stać głośna. Niechże zagranica pozna prawdziwe tło, na którem Rząd Polski miał prawo żądać i zażądał zapłaty za świadczenia. Sam lojalny, domaga się od kontrahenta lojalności, w czem stoi za nim całe nasze społeczeństwo.

SZCZĘSNY RUTKOWSKI.

Warszawa przyszłości

Sądząc z obrazów Canaletta, opisów współczesnych, Warszawa za króla Poniatowskiego była miastem ładnem i — przyjemnem do mieszkania. Niewielkie, porządnie, tradycyjnie rozplanowane, zwarto zabudowane handlowo-rzemieślnicze centrum — obecne Stare Miasto; ku Wiśle Zamek Królewski, świeżo za Sasów „zmodernizowany"; z drugiej strony w całej rokokowej krasie z rozległemi parkami — pałace Saski i Brühlowski. Główna arterja wjazdowa — Krakowskie Przedmieście — obudowana świetnemi pałacami magnatów. Naokoło szerokim pierścieniem, rozrzucone wśród obfitej zieleni sadów i ogrodów, pańskie rezydencje i folwarki, klasztory, szlacheckie i mieszczańskie dworki. Dalej — gdzie obecnie Krucza, Złota, Żelazna — szczera wieś — uprawne pola, łąki. Pod samo miasto podchodziły wielkie, jeszcze nie przetrzebione lasy. Jako letniska podmiejskie — Łazienki, Powązki, Frascati. Bruki były dość podłe, było ich mało — przeważały drogi gruntowe. Ale państwo jeździli karetami albo konno, pospólstwo chodziło w długich butach. Nikogo błoto ani piasek nie mierziły.

Rozbiory — wojny Napoleońskie — miasto trochę wyludniły.

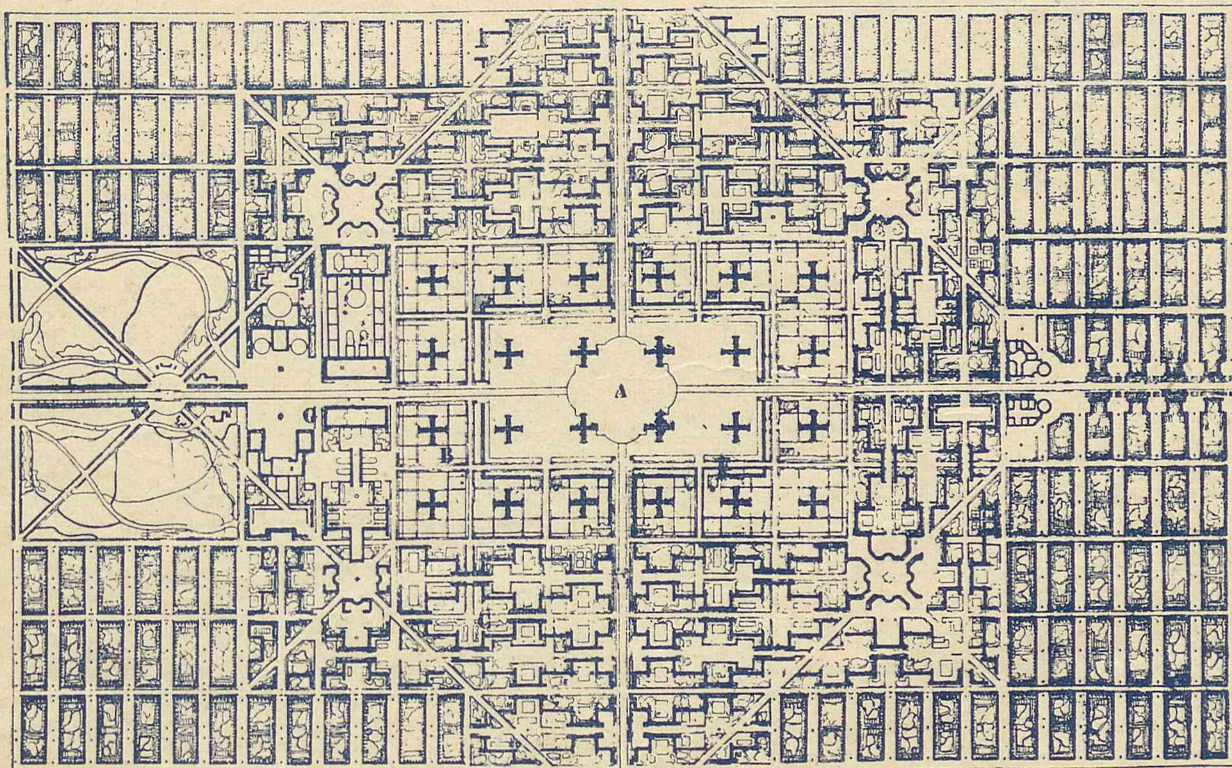
Odżyła Warszawa jako stolica Królestwa Kongresowego. W okresie tym stanęły (lub rozpoczęto budowę) — po dziś dzień najbardziej monumentalne gmachy miasta — Ministerstwo Skarbu, Teatr Wielki, Pałac Staszica, Pałac Paca — obecnie Sąd Najwyższy. Został również opracowany plan nowych dzielnic miasta, m. in. wytyczone ul. Marszałkowska, al. Ujazdowskie, al. Jerozolimskie i cała regularna szachownica przyległych ulic. Oczywiście, w planie tym nie były przewidziane ani stacje kolei żelaznych, ani trasy tramwajowe, ani ruch samochodowy, mimo to miasto rozbudowywało się na jego odnowie, aż do czasów wielkiej wojny.

W drugiej połowie dziewiętnastego wieku ludność Warszawy zaczęła szybko wzrastać. Budowano bardzo dużo i bardzo chaotycznie. „Jak kto gdzie chciał, byle łapówkę w Magistracie dał". Wielkie kamienice stawały wśród piętrowych dworków, obórki i stajenki — wśród kamienic — fabryki, cuchnące chemikaljami, w dzielnicach najgęściej zaludnionych; linją regulacyjną ulic również niebardzo się krępowano. Pomimo tych wszystkich nieporządków — Warszawa w końcu XIX i na początku XX wieku przeżyła znowu pewnego rodzaju apogeum. Konjunktura była świetna, wielkie inwestycje: tramwaje elektryczne, oświetlenie elektryczne, trzeci most, drewniane bruki na głównych ulicach, park Skaryszewski (obecnie Paderewskiego), częściowa regulacja brzegów Wisły, Filharmonja, Teatr Polski, pałace, hotele — Bristol i Polonia, siedmio, ośmiopiętrowe, solidnie budowane buildingi z centralnem ogrzewaniem, gorącą i zimną wodą, eleganckiemi łazienkami, windami i t. p.; piękne wystawy sklepowe, mnóstwo restauracji, kawiarni, kabaretów... „Warszawa — Paryż północy".

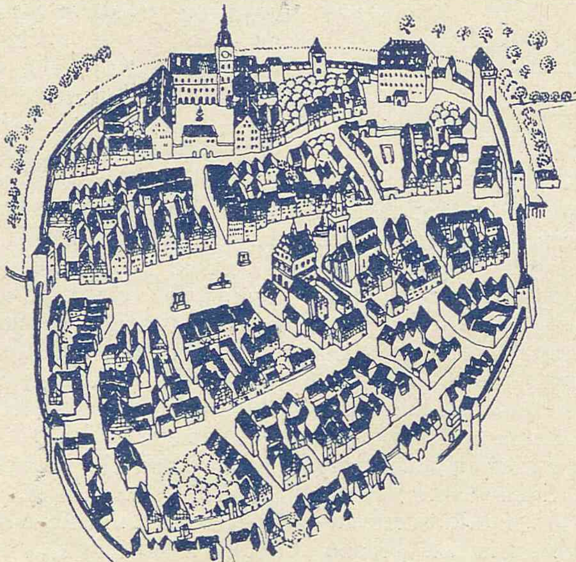
Przyznajmy się nareszcie — swój mniej więcej europejski wygląd Warszawa zawdzięcza — w znacznym stopniu — ostatnim latom panowania Rosjan.

Przyszła Wielka Wojna — nędza — zastój.

Po wojnie ludność Warszawy zaczęła znowu wzrastać — obszar znacznie się powiększył, gdyż rogatkami objęto liczne osiedla i



Le Corbusier. Plan Miasta Przyszłości.
Pośrodku dworzec centralny i lotnisko, naokoło drapacze nieba, dalej dzielnice mieszkalne, zabudowane zwarto, dalej dzielnice willowe i ogrody.



Miasto średniowieczne.

wioski podmiejskie; gospodarka poprowadzona została dość niefortunnie. Jeszcze w czasach okupacji niemieckiej ząbkujący nasi urbaniści przystąpili do opracowywania nowego planu rozbudowy. Niestety — z planami ich — i z interesami miasta — niebardzo się liczono.

Przedewszystkiem zaczął się na wielką skalę rabunek publicznych terenów.

Zły przykład dali sami architekci, którzy urwali kawałek ogrodu Sejmowego i pobudowali na nim swoje prywatne pałacyki. Olbrzymie tereny na Żoliborzu i poforteczne zostały wyzyskane przez niezliczone kooperatywy wojskowych, urzędników i cywilów. Na inne znowu państwowe i miejskie tereny rzuciły się różne instytucje, związki, kluby sportowe.

Wśród urbanistów Europy słynny jest Warszawski Yacht-Klub — nie z wyczynów sportowych, ani urody, ale z tego, że stanął sobie spokojnie pośrodku publicznego bulwaru — korkując — w najważniejszem miejscu — komunikację całego pobrzeża Wisły.

Ministerstwa, urzędy rządziły się także, jak szare gęsi. Plany miejskie — sobie, a one — sobie. Znowuż w obrębie stolicy budował, jak kto gdzie chciał. Łapówki w Magistracie brać przestano, ale bezhołowie trwało z uporem.

Wystawa „Warszawa Przyszłości“ została zainicjowana, aby 1) zahamować dotychczasowe błędy, 2) zmusić Zarząd Miejski, instytucje, ministerstwa do skonkretyzowania i uzgodnienia swoich planów, 3) zainteresować szerokie masy ludności, — a także czynniki miarodajne, — przyszłemi losami miasta.

Do wzięcia udziału w Wystawie Komitet Organizacyjny zaprosił dwadzieścia sześć instytucyj i organizacyj. Między innemi:

Prezydjum Rady Ministrów,

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych,

Ministerstwo Komunikacji,

Ministerstwo Spraw Wojskowych,

Ministerstwo Opieki Społecznej,

Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego,

Zarząd Miejski m. st. Warszawy,

Urząd Wojewódzki Warszawski,

Biuro Planu Regionalnego,

Bank Gospodarstwa Krajowego,

Fundusz Pracy,

Związek Przyjaciół Wielkiej Warszawy,

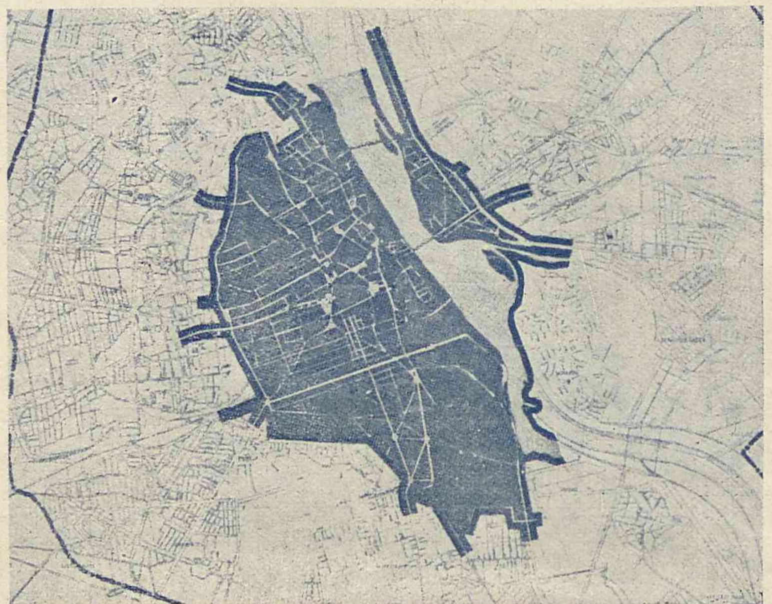
Towarzystwo Urbanistów Polskich,

Związek Stowarzyszeń Architektów Polskich,

Państwowa Rada Ochrony Przyrody i t. d.

Przygotowania do Wystawy trwają od dwóch lat. Są już wykończone, albo na ukończeniu wielkie modele plastyczne, plany w dużej skali całego miasta i poszczególnych dzielnic, rysunki, montaże, wykresy.

Wystawa odbędzie się w miesiącu marcu r. b. w Salach Muzeum Narodowego.



Plan miasta Warszawy z roku 1829.

KOLEJKA NA KASPROWY WIERCH

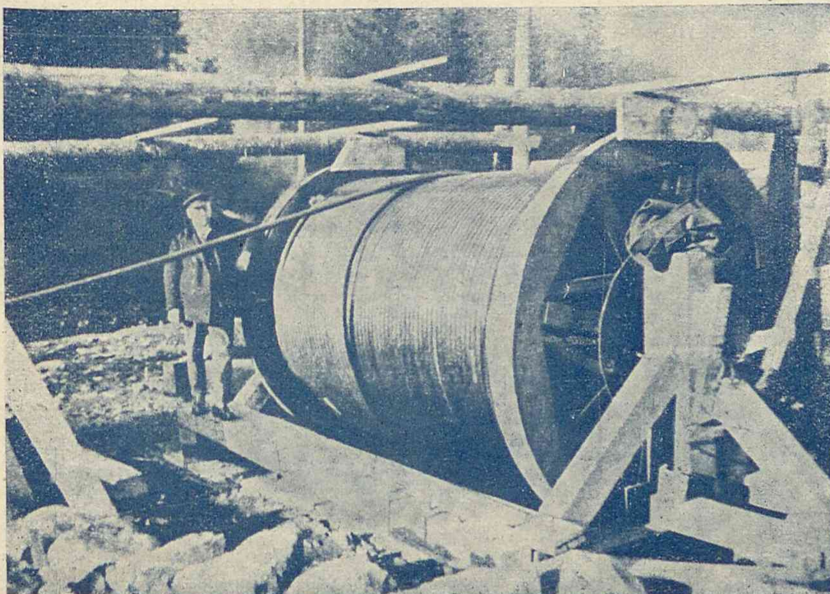


Wagonik kolejki na tle górskiego krajobrazu. Na zdjęciu widać wąski przesiek wzdłuż toru



Jedna z wież nośnych

Bęben, na który nawija się lina ciągnąca wagonik



Trudności techniczne, wywołane przez trwający strajk drukarski, nie pozwalają nam poświęcić więcej miejsca kolejce linowej na Kasprowy Wierch, której uroczyste otwarcie odbędzie się dnia 23 b. m. W następnym numerze omówimy szerzej znaczenie kolejki dla Zakopanego

POŁÒW PEREŁ

Jesteśmy w Polsce...

Odbyła się przed sądem okręgowym w Chojnicach sprawa nieprawdopodobna: o zabójstwo polaka przez kilku niemców **za to, że śpiewał polskie pieśni!**

Gdzie?

W karczmie w Ogorzelinach, pow. chojnickiego.

Nie na terenie Rzeszy! W wolnej i niepodległej Polsce.

Czternastu sfanatyzowanych drabów, obywateli polskich, należało do mniejszości niemieckiej, nietylko poprawnie, ale kurtuazyjnie traktowanej przez władze polskie.

Nazwiska drabów brzmiały: Binke, Hellwig, Sickau, Bunger i t. d.

Zatłukli polaka kijami na śmierć.

Ale Warszawa jest uprzejma.

Warszawa kłania się Berlinowi i przesyła zalotne uśmiechy w stronę Gdańska.

Na kataraktę medycyna zna sposoby.

Na rozmyślną *ślepotę* — zwłaszcza polityczną — niestety nie...

Prawdziwy pech

Nasi młodzi autorzy wykazują czasami charakterystyczną... bezceremonjalność. Jak stwierdził „Czas", pan Jalu Kurek, nagrodzony w roku ub. Nagrodą Młodych Akademji, w tegorocznej swej powieści „Woda wyżej" zamieścił całe ustępy, *wzięte żywcem* z artykułu Zofji Starowieyskiej-Morstinowej, drukowanego w tymże „Czasie".

Po tej rewelacji Kurek gęsto się tłumaczy, że niby czerpał materjały do swej powieści z różnych komunikatów i artykułów, a dalej dosłownie tak: *„artykułu p. Morstinowej sobie nie przypominam, niemniej atoli konfrontacja dowodzi, że RZECZYWIŚCIE NA SUROWO PRZYSWOIŁEM* dla Makary poglądy myśliciela niemieckiego i pani Morstinowej".

Takie, lekko mówiąc, przywłaszczenie nazywa Kurek ze zrozumiałą auto - pobłażliwością... *„przeoczeniem zeszytowem"*.

Tłomaczenie może szczere — ale mało przekonywujące. Tembardziej, że tenże Kurek miał przed paru laty inny casus pascudeus: wypisał „reportaż" z wyprawy na Mount-Everest (którego w życiu na oczy nie widział) — no i okazało się, że ów „reportaż" *do złudzenia przypomina pewną znaną książkę angielską na ten sam temat.*



Brzydkie „wypadki" chodzą po ludziach...

Zwłaszcza gdy chcą... dużo, prędko i byle jak.

Radjo-cuda

Polskie Radjo odsłoniło nam nową prawdę matematyczną: że 35=60.

W ubiegłym tygodniu grał w radjo Artur Rubinstein. Wymowne komunikaty Polskiego Radja oznajmiały, że Rubinstein *„wystąpi we środę, o godzinie 21-ej, W WIELKIM, TRWAJĄCYM PRAWIE GODZINĘ RECITALU FORTEPIANOWYM"*.

Każdy meloman się ucieszył. Godzinę posłucha Rubinsteina...

Tylko, że... Niedaleko od tego komunikatu zamieszczono komunikat drugi, który głosił, że tego samego dnia znakomity krytyk, Jan Lorentowicz, wygłosi prelekcję na temat teatru. O której?

O godzinie 21 min. 35.

Zatem *„prawie godzinny recital Rubinsteina"* miał trwać tylko 35 minut.

Mała rzecz, a wstyd...

*

Inny kwiatuszek z radjowej łąki dał nam do powąchania Antoni Słonimski w swej „Kronice tygodniowej". Wyznał — a nie miał co ukrywać — że mu w Polskiem Radjo zaproponowano wygłoszenie odczytu. Pardon: *napisanie go raczej.* Bo co do zaaprobowania tekstu przez komisję kwalifikacyjną Polskiego Radja — to, jak go zapewniono, widoków niema żadnych. Mimo to proszono autora, aby prelekcję napisał, i *zaproponowano mu 500 złotych za pracę, zgóry skazaną na niewygłoszenie.*

Czem to pachnie?

Kretyństwem... Trwonieniem pieniędzy... A może zgoła czem innem...

Kto za to płaci?

Sprawa wadliwie działających liczników telefonicznych i wadliwie obliczanych rozmów jest na wokandzie sądowej. 52 świadków stwierdziło, że w czasie gdy mieszkania ich *były zupełnie puste* — otrzymywali rachunki za *rozmowy nadliczbowe!* Tu wiadomo, kto nie ma płacić.

Ale kto ma płacić np. za połączenia omyłkowe?

Powie nam oczywiście PAST-a, że to wykluczone. Omyłek niema, odkąd są liczniki. Czyżby?

Oto łączymy się jednego dnia nie raz, nie dwa, ale kilkanaście razy z rzędu z numerem administracji „Świata" — 504-00. Kto nam do uprzykrzenia odpowiada — kilkanaście razy z rzędu? Drewnianogłosa... *„Zegarynka"!* (Ma ona numer, jak wiadomo, 05).

Jakim cudem możliwe jest tak mylne połączenie — niech rozstrzygną technicy. My tylko wiemy, że *nie będąc tego dnia wcale ciekawi która godzina*, i mając do Administracji „Świata" pilny interes — *dwanaście razy z rzędu byliśmy mylnie łączeni z „Zegarynką"*.

Kto ma za to płacić?

Tak zwana „zniżka kosztów utrzymania" — czyli „Wiele hałasu o nic",

Z wielkim trzaskiem zapowiadano w listopadzie generalną zniżkę cen, która miała rzekomo skompensować umęczonej podatkami ludności — nowe, nałożone w grudniu podatki.

Szumu było wiele.

Rezultat — mniej niż mizerny.

Po dwóch miesiącach wytężonej „akcji" — staniała żywność o 4 proc., a opał... o 1,5 proc. — Zniżka komornego jest iluzją — bowiem nie obejmuje olbrzymich rzesz społeczeństwa. A całe mnóstwo działów produkcji wogóle **o zniżce nie chce gadać.**

Najpiękniej zaś wygląda akcja zniżki cen „na własnem podwórku" rządowem, czyli w przedsiębiorstwach państwowych.

„Bronią się jeszcze twierdze Grenady, chociaż w Grenadzie zaraza..."

Uparty nurek

ŚWIAT TEATRU

Teatr Narodowy.
„Niedobra miłość" — sztuka w 3-ch aktach Zofji Nałkowskiej. Reżyserja R. Ordyńskiego, dekoracje St. Śliwińskiego.

„Dom kobiet", „Dzień jego powrotu", „Niedobra miłość" wskazują, że jednym z nakazów twórczych Zofji Nałkowskiej jest obecnie pragnienie wypowiadania się scenicznego. Nałkowska pragnie „swoich" ludzi widzieć, chce aby się przed nią ruszali, gestykulowali, cierpieli, rozwijali — chce aby byli żywi, ucieleśnieni!

To daje się wyczuwać w obecnej twórczości Nałkowskiej. Scena, aktorzy, akcja jako sposób wypowiedzenia się porwały utalentowaną autorkę. Wrażenie to nasuwa się tembardziej, że Nałkowskiej *nie wystarcza pisanie* i tworzenie dla teatru, skoro nawet przerabia swą powieść na scenę. Wydaje się, że poprostu artystka chciała zobaczyć, chciała usłyszeć osoby ze swej powieściowej fantazji. Oblekła je w ciało i krew — a słów użyczyły im subtelne karty powieści.

Nie wypowiadajmy starych, zbanalizowanych prawd o niewdzięczności przerabiania powieści na scenę, o „przeróbkach" jako o twórczości bez „ognia entuzjazmu" i t. p.

Kiedy patrzyłem na „Niedobrą miłość" w Teatrze Narodowym, postanowiłem — zapomnieć o powieści, nie przypominałem jej sobie. Pamiętam jednak „Dom kobiet". Nie chcę porównywać sztuki z powieścią. Porównywuję natomiast sztukę: „Niedobra miłość" z innemi sztukami Nałkowskiej. Porównanie nie jest oceną. Porównanie jednak może dać klucz do tajemnicy metody twórczej autorki. „Dom kobiet" *stworzony na scenę* i dla sceny, odsłonił odrazu nerw sceniczny Nałkowskiej. Tam jej bohaterki wypowiadały się „akcją", tam żyły scenicznie. Dlatego to poprzednie sztuki Nałkowskiej, będąc formą wypowiedzenia się bezpośredniego znakomitej autorki, miały wszystkie walory jej pióra, myśli, stylu i subtelności uczuciowych, miały również nieznane nam poprzednio walory ruchu, ekspresji i akcji scenicznej — które to zalety odsłoniła nam Nałkowska dopiero w „Domu kobiet". W „Niedobrej miłości" z Teatru Narodowego Nałkowska *nie wypowiada się*. Wypowiedziała się w powieści, i z tej powieści przenosi co się da na scenę.

Ta transpozycja, gdyby nie wytworny, wyszlifowany język, którym przemawiają do nas ze sceny bohaterowie Nałkowskiej, więcej nadawałaby się do kina niż na scenę.

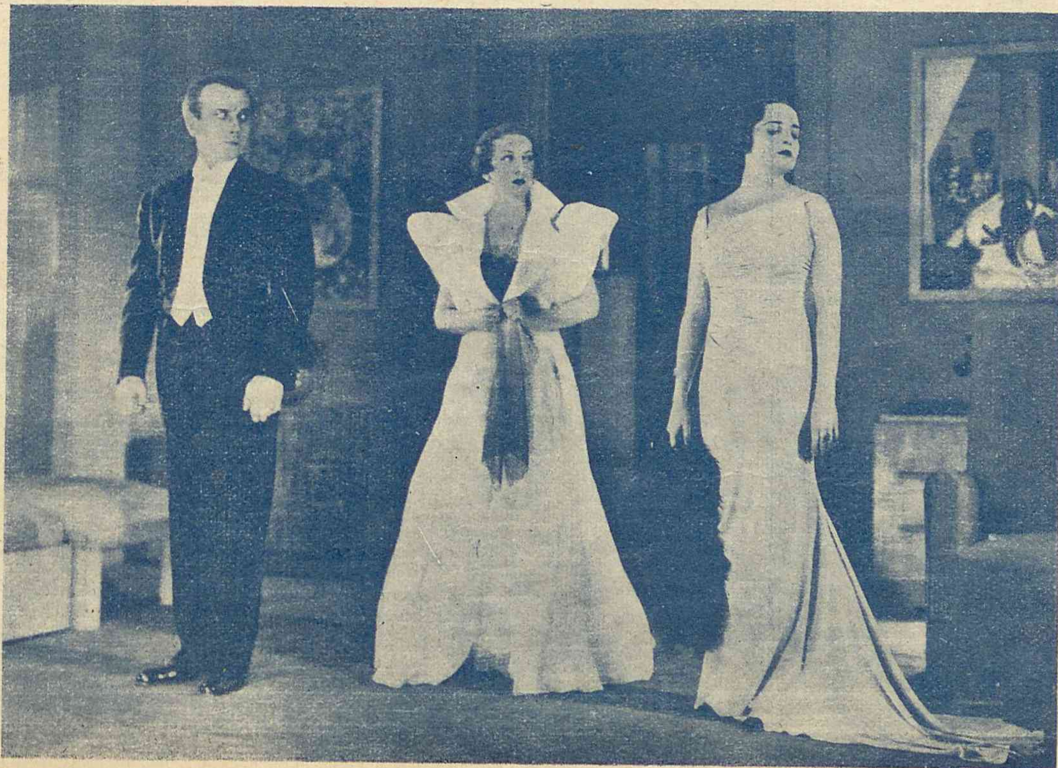
Skróty uczuciowych przeżyć, jakie nam mają odtworzyć, doprowadzają do zdecydowanie ujemnych wyników. Zofja Nałkowska jest zbyt wybitną autorką, talent jej dosięgnął takiego rozwoju, że można i należy o niej mówić bez reweransów. Piękno, sceniczność i głębokość wrażeń, jakie wynosi się z „Domu kobiet", każą w niej widzieć również utalentowaną autorkę sceniczną, tem silniej więc wolno i trzeba podkreślić sceniczną omyłkę „Niedobrej miłości".

A omyłka polega przedewszystkiem na tem, że ktoś nieznający powieści musi patrzeć na bliskie sercu autorki osoby dramatu jak na płytkie, pajacowate, banalne typy, które jako na okoliczność łagodzącą od czasu do czasu dyskretnie wskazują nam na plączącą się po scenie „Fatalność", rzekomą regulatorkę ich losu. Bo czyż *nie znając powieści*, nie patrzy się na Blizbora jak na pajaca, lub kabotyńskiego „Don Juana z Podfilipia", gdy ten gentleman robi swej żonie scenę o to, że pewien starszy pan znał ją jako małą dziewczynkę, i że on w tej „przeszłości" nie znał swej żony, a już w 5 minut tenże Blizbor patrzy z równą „głębią uczucia" w oczy dopiero co poznanej Renaty!

Fatalność, piorun uczuciowy, czy pajac bałwanisty?

Wybór nie może paść na korzyść... pioruna!

Czyż nie jest staroświecczyzną uczuciową to wyłączne maglowanie przez trzy akty słów „miłość" i „kocham" w girlandach stylowej wytworności? Akcja — oparta na bieganinie po scenie w akcie pierwszym i trzecim mę-



Kulminacyjna scena z drugiego aktu „Niedobrej miłości": Socha, Romanówna, Gorczyńska.

czy i nuży, więcej, czyni wrażenie jakiejś bezradności inscenizacyjnej.

Tak wygląda, tak musi wyglądać „Niedobra miłość" dla każdego, kto nie zna powieści. — A ten sprawdzian *dla autorki dramatycznej* Zofji Nałkowskiej musi być najważniejszy.

Z wytwornego cieniowania uczuć, z naturalnego niesmaku, jaki Nałkowska ma wobec wszystkiego co zbyt poziome, płytkie z jej subtelności i wrażliwości tym razem na scenie pozostały zaledwie strzępy. O to musimy mieć żal, bo nie ulega wątpliwości, że forma scenicznego wypowiadania się jest jedną z wielkich możliwości utalentowanej pisarki.

Rolę Renaty wykonała p. Marja Gorczyńska, wykonała ją znakomicie. Opanowanie psychiczne, niezwykła subtelność w tonacji, wielki umiar w ekspresji, świetne zewnętrzne opracowanie postaci całej i jej zmienności fizycznej, mało znana i widziana dotychczas powaga i pogłębienie odtwarzanej postaci, ukazały nam talent Gorczyńskiej w pełni rozkwitu. Dyskretnym, przyprószonym nieszczęściem i codziennością mężem Renaty był Woskowski. Roland jako szarpiący się sam z sobą i życiowemi przeciwnościami Julek Słuczański, był szczery, żywy, bezpośredni — trochę poskromienia głosowego nie zawadziłoby Romanówna jako Blizborowa — w akcie drugim miała kapitalną scenę niemą, którą odegrała w rozmowie ze Słuczańskim znakomicie. Dobra była również w tym akcie w obu djalogach z Justynem i Słuczańskim. Miała bezpośredniość i szczerość w scenie z Blizborem. Natomiast w scenie trójkąta z Renatą i Blizborem nie ustrzegła się szablonu. Gdybyż się znalazł reżyser, któryby przekonał tę utalentowaną artystykę, jak bardzo sobie szkodzi tym stałym efektem dykcji, gdzie staccata zamiast przejęcia i wzburzenia robią wrażenie raczej zadyszania i sztuczności.

Kreczmar i Andryczówna odegrali banalną parkę młodych wygodnisiów życiowych. Socha — raz tylko szczerze rozdarł płótno kinowej roli, jaką mu kazano odegrać na scenie bez ekranu. Reżyserował Ordyński — żadnych odchyleń od szablonu nie dostrzegliśmy. *L. Ch.*

Wyrazy kondolencji Fryderykowi Jarossy'emu

(zamiast recenzji z „Mycia głowy" w „Cyruliku").

Znakomity Wodzu Bandytów a Cyrulików!

Pozwoli Pan, że na Jego ręce prześlę, z okazji ostatniego programu „Cyrulika", słowa szczerego współczucia.

Bo jakżeż? Tak dużo *chcieć* — tak wiele *móc* — i mieć tak mało *pozwolone*...

Znając poziom kabaretów literackich Europy, można orzec z całą pewnością, że teatrzyk, którym kieruje Fryderyk Jarossy, jest jednym z najlepszych.

A mógłby być najlepszy. Ma wszelkie potemu dane.

Dyrektor, reżyser i kierownik literacki (w jednej osobie) — jest wszechstronnie utalentowany, dowcipny — europejczyk w każdym calu. Poza temi zaletami osobistemi posiada właściwość bezcenną: jak rabdomanta podwodne źródło, tak Jarossy wyczuwa w surowej bryle aktorskiej nurt talentu i rodzaj jego możliwości.

Jako kierownik literacki umiał Pan pozyskać dla „Cyrulika" pióra najdowcipniejszych ludzi w Polsce. Zdawałoby się więc, że niczego temu kabaretowi nie brak, aby stanąć wśród najlepszych, w kategorji światowej — nie lokalnie warszawskiej.

Mieliśmy tego dowód w jednym z ostatnich, świetnym programie politycznym „Cyrulika". Bo, powiedzmy sobie szczerze, dwa są przecież filary, na których wspiera się w Europie kabaret literacki: jednym z nich jest — pornografja, drugim — satyra polityczna. Pornografję Pan, jako człowiek dobrego smaku — odrzucił. Wyeliminował Pan również wszelkie łatwizny w rodzaju nadużytych (choć zawsze przez szeroką publiczność radośnie witanych) dowcipów „szmoncesowych". Usunął Pan także skecze o komornikach — bo już tych miłych gości mamy dość na codzień w życiu. Pozostaje niewątpliwie, jako temat niewyczerpany, zasilany bujnie zdarzeniami codziennemi — życie polityczne. Satyra polityczna jest *potrzebna,* jest zdrowa, jest poprostu — koniecznością hygjeniczną. (Tak właśnie, jak... „Mycie głowy", porządnie wykonane).

Każdy inżynier wie dobrze — i każda kucharka również — że gotujący się kocioł trzaśnie, jeżeli mu nie otworzyć wentyla, albo nie uchylić pokrywy. Takim wentylem bezpieczeństwa jest satyra polityczna. Czyżby w Polsce było wśród czynników decydujących zamało kucharek? A może tylko zamało — inżynierów?

Największą drażliwością na punkcie własnego prestiżu odznaczają się na całym świecie stupajki i garbusy. Przykro pomyśleć, że w Polsce jest widocznie tak wielu... garbatych. Dlatego może „Mycie głowy" wbrew zapowiedziom wypadło nazbyt ostrożnie.

Co rzekłszy, życzę Panu, najdowcipniejszy Bandyto i najgroźniejszy Cyruliku, aby po lutowych mrozach klimat nam na wiosnę — nieco zelżał. I nie wątpię, że zakwitnie wówczas nanowo prawdziwa satyra polityczna w „Cyruliku".

Z. Norblin-Chrzanowska

NAKŁAD WYDAWNICTW WARSZAWSKIEGO ZWIĄZKU PROPAGANDY TURYSTYCZNEJ W R. 1935

W ciągu roku 1935 warszawski Związek Propagandy Turystycznej wydał 85.000 druków propagandowo-informacyjnych: 20.000 prospektów informacyjnych w języku polskim, 10.000 w jęz. francuskim, 5.000 prospektów przeznaczonych dla Gdańska w jęz. niemieckim, 10.000 planów Warszawy w 4 językach, 19.000 prospektów o Warszawie w 3 językach, 5.000 broszur propagandowych o celach i zadaniach Związku, 2.000 albumików z fotografjami Warszawy, 5.000 plakatów propagandowych, 10.000 odezw do organizacyj i zrzeszeń oraz 500 wywieszek propagan-

KOBIETA — I BASTA!

POWIEŚĆ

Każdy nowy prenumerator „Świata“ otrzyma początek powieści Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej „Kobieta — i basta“, której druk rozpoczęliśmy w listopadzie.

Słońce w tej chwili zasłania ciemna chmurka obrzeżona świetlnemi białemi obłokami.

Czemu patrzysz w niebo? Patrz na ziemię. Na dach gontem kryty, na ściany chmielem obrosłe, na zwiezioną marchew, przywaloną wywróconemi taczkami. Jest tej marchwi dużo, ceglastej w kolorze i podłużnej w kształcie, o wielkich warkoczach naci. Patrz Marto na ziemię, nie fruwaj w obłokach! Pożegnaj się z panną Marylką i życz jej dalszej poprawy zdrowia.

Mistrz Chłopski przyjdzie dziś o piątej pod dom pod Krzysztofem i spotka tam ciebie, która będziesz malowała liściaste głowice, renesansowe gzemsiki, attyki, płaskorzeźby i karjatydy.

„Do widzenia“.

Oh! Co za tryumf! Sam Chłopski w swej własnej osobie przyjdzie patrzeć na to, co ty będziesz malowała! Chłopski, który tak rzadko wierzy w kobiece palety! Zastanów się nad tem i odczuj radość.

*

Po trzytygodniowym pobycie Kazimierz Dolny w oczach Marty ulega kompletnej metamorfozie. Nad Wisłą leży wprawdzie ten sam sypki biały piasek, ale ślady czyichś stóp zwiał czas. Leżą na nim teraz nowi ludzie i grzeją się na słońcu w kostjumach kąpielowych. A między nimi Marta leży w czarnym trykocie wyciętym głęboko na plecach. Linję ciała ma falistą, koloryt gorący — nic więc dziwnego, że maluje ją Janek i trzej jego koledzy i chce malować ją profesor Hańcza.

Wokoło kładą się blaski i refleksy i każdy cień jest kolorem. Plenair!

Zmarszczki wody podbiegają szybko do brzegu jedna za drugą, druga za trzecią. Podbiegają pod same opalone stopy, osłonięte czerwonemi gumowemi pantoflami. Podbiegają, i drgają, i błyszczą i pachną świeżością.

Czyż można o tem pamiętać, że kiedyś patrzyło się na nie oczami dziewczynki, która wstydziła się swoich nawpół rozwiniętych śmiesznych piersi, źle osłoniętych mokrym kostjumem?

Dzisiaj Marta już nie spuszcza oczu, nie zapina pośpiesznie odpiętego ramiączka, nie osłania się płaszczem kąpielowym, kiedy na nią patrzą i pozwala się nawet malować...

Po trzytygodniowym pobycie Kazimierz Dolny w jej oczach ulega kompletnej metamorfozie. — Wprawdzie Ratusz stoi na dawnem miejscu, czworokątny rynek jak dawniej rozbiega się wokoło uliczkami pełnemi ruder, zaułków i żydowskich domków, ale nie jest to już ten sam ratusz i ten sam rynek dla Marty

Kamienie obrosłe mchem i osypane źdźbłami słomy nie mówią już wspomnieniem.

Kazimierz Dolny, jeżeli się nie zmienił — to powinien się był zmienić. Powinien się był przebudować i rozbudować z zachowaniem oczywiście jego charakteru. To jest konieczne i racjonalne! Jeden z architektów zastanawia się nad tem w barwnych planszach. I zastanawia się nad tem Marta w projektach, wystawionych na wystawie plastyków w Kazimierzu!

A sala taneczna? Ta sala, w której zapalały się w roku 1926-ym bibułką osłonięte, zaczarowane lampy pierwszych upojeń tanecznych? W tej sali w lipcu Tarasowiczówna ma odczyt o Monachijskiej szkole Hollosy‘ego, a w sierpniu prowadzi w niej conferencier‘ę kabaretu literackiego.

Cisną się nowe przeżycia i spychają w kąt dawne wspomnienia. Wszystko jest w porządku.

*

Dzisiaj rano przychodzi list od mamy z Konstancina. Mama widziała się z Szenkerem i pisze, że ten wybiera się do Kazimierza odwiedzić Martę. Wobec tego mamę trapią niepokoje, czy dziecko jej na plaży nie opaliło się zanadto? (Tego mężczyźni naogół nie lubią). — Pozatem mama zapytuje, czy Marta mieszka w możliwie urządzonym pokoju, w którym mógłby ją odwiedzić Szenker? Jeżeli nie, to możeby zmieniła mieszkanie? (Matka posyła w tym celu dodatkowe sto złotych). Dalej matka nadmienia, że tych stu złotych przesyłać by nie potrzebowała, gdyby córka jej umiała żyć . W Konstancinie u generałostwa J. mieszka od tygodnia Emil Kossacki. Ten się umie urządzić! Nietylko goszczą go tu po staropolsku, ale jeszcze dają mu zarobić, gdyż Emil maluje portret generała (z pełnemi orderami) i portret córki (w organdynowej sukni, z perłami na szyi i chartem u nóg!)

Matka więc radzi córce, aby przerzuciła się na malarstwo salonowo - portretowe. A pozatem radzi, żeby wogóle stała się rozsądniejsza. Szenker jedzie swoim samochodem do Kazimierza! Pewno znowu się oświadczy. Niech Marta nad tem pomyśli. Niech się zastanowi i nie robi głupstw. Co mu wogóle może zarzucić? Ideałów przecież na świecie niema. Więc niech przyjmie Szenkera! O cóż chodzi? Jeżeli będzie z nim nieszczęśliwa — to rozwiedzie się za rok, lub dwa i sprawa załatwiona. Ale niech wyjdzie zamąż! Niech będzie mężatką, niech nie kompromituje się i nie zostaje starą panną, która na stare lata zdziwaczeje i będzie hodować koty, jak jedna z literatek, albo szczury i ptaki, jak jedna z malarek!

Dalej matka pisze o sobie. Odpoczywa. Chodzi w szlafroczkach i... w ten sposób oszczędza sukien. Dzierga obrus i dwanaście serwetek (haftem mijanym) i... w ten sposób oszczędza dwieście złotych na kupno takiego samego w sklepie. Leży na słońcu w kapeluszu i rękawiczkach i... w ten sposób oszczędza skórę twarzy i rąk. Przytem gotuje sobie sama śniadania i kolacje na maszynce i... w ten sposób też oszczędza. Wogóle oszczędza, oszczędza, i jeszcze raz oszczędza i tryumfuje między wierszami, że Tuta przez brak oszczędności siedzi w Warszawie i pije piwo, które sama nawarzyła.

Marta składa list we czworo i śmieje się nad nim serdecznie.

Jakże matka jest w tym liście nielogiczna i nie-

konsekwentna! Sama jest w małżeństwie nieszczęśliwa, ma nieszczęśliwą bratową, ma narzekającą na małżeństwo przyjaciółkę i ma rozwodzącą się z mężem siostrzenicę. Te wszystkie panie wolałyby „kamienie tłuc na szosie" niż żyć ze swoimi mężami! One wszystkie wolałyby „żydom w piecach palić", niźli drugi raz takie głupstwo zrobić. Pomimo to matka w najlepszej wierze i w najlepszej intencji takie same nieznośne życie preparuje dla Marty. Chodzi oczywiście o byt. Dla pieniędzy matka nie rozwodzi się z ojcem, stryjenka ze stryjem i kuzynka z mężem. Ale cóż wspólnego z tem wszystkiem może mieć Marta, która da sobie radę sama w życiu? Marta, która za dwa, trzy lata (jeżeli minie kryzys) będzie mogła kupić sobie małą sportową maszynę za swoje własne pieniądze i będzie mogła wyjeżdżać zagranicę! I będzie mogła żyć, jak chce! Wolno! Dostatnio! Niezależnie.

Więc Marta odsyła odwrotną pocztą te sto złotych i dołącza do nich jeszcze 25 z myślą o prezencie imieninowym dla mamy, która ma na imię Anna i jest 26-go lipca solenizantką.

„SWÓJ I OBCY".

Ojciec cudownie czuje się w Kazimierzu. Za panbrat jest z samym Chłopskim! I dostaje nawet od niego autoportret z podpisem — „Tadziowi — Jędrek".

Coś nadzwyczajnego! Mówią sobie po imieniu! Wypili „brudra".

Wogóle nietylko z Chłopskim ale i z całą malarją jest za panbrat! Chodzi z nimi malować i chodzi z nimi pić! Gdyby mógł fundowałby im nietylko knajpę ale i studja zagraniczne, kupowałby ich obrazy, wspomagałby ich i protegował! Gdyby tylko mógł! Ale nie może... Każdy grosz ginie mu w przepaściach żoninych budżetów i żoninych oszczędności! Aż wstyd się do tego przyznać!...

Udał się Marcie ojciec! Morowy z niego chłop i basta! Swój! Jakby go wszyscy kopę lat znali. Już go kochają. Już przylgnęli do niego sercem! Wiedzą, że gdyby mógł byłby mecenasem sztuki!

Swój człowiek i basta!

Machnął o nich świetny reportaż do gazetki literackiej! Wyleczył zartretyzmowane łapska starego rzeźbiarza (okładanie z soli czy z czegoś tam innego!) Nałożył na głowę cowboy'owski kapelusz i żył się z nimi przez te trzy tygodnie, że im się aż oczy do niego weselą i gęby do niego śmieją!

Nikt go nie nabiera na fundy, nikt nie pożycza od niego pieniędzy, ani go nie zaciąga. Wiadomo! Swój człowiek i wara z nim świństwa wyczyniać.

Co innego zupełnie z tym Szenkerem!

Nadęta purchawka! Mieszczuch!

Zajechał pewnego dnia na rynek Kazimierski limuzyną, jak na amerykańskim filmie. I zaraz z punktu zaczął nosa drzeć i nosem kręcić na wszystko i wszystkich.

W pensjonacie nie było elektryczności, materacy, wody bieżącej i wanny! Kazimierz był brzydki, brudny, zażydzony! Malarze byli „pacykarzami", którzy mówili o nudnych rzeczach i zabierali mu Martę! Chłopski używał ordynarnych wyrażeń i był poprostu źle wychowany! Zahorski był zarozumiały i wyglądał tak, jakby kpił z pana Szenkera i jego pieniędzy! Tankiewicz coś tam opowiadał, czego nie można było nawet zrozumieć, o jakimś „crapplack'u" i o jakiejś „ultramarynie". Tiszewski żył na wiarę z koleżanką Darowską! Feigold był brudnym żydem!! Z jednym Hańczą tylko można było się liczyć, bo giełdowy miernik jego talentu mówił o pięciuset dolarach za obraz!

Na tle tego miasteczka i tych ludzi — Marta.

Kobieta, którą pan Szenker się zachwycał, (bo była taka miła, ładnie zbudowana i... blondynka), ale do której się rozczarowywał, bo „popełniała" malarstwo!

Bruno Szenker niecierpi tych „pacykarzy", którzy mu demoralizują Martę i wyczuwa przez skórę, że i oni odpłacają mu pięknem za nadobne. Naciągają go na kolacje, na przejażdżki samochodowe, na dwa konjaki, na pożyczki, a potem karykaturują go! i z tej karykatury się śmieją!

Są niedelikatni, nieuczciwi, źle wychowani, źle ubrani, niesolidni, obcy.

I on dla nich jest obcy! Ot co!

*

Rodzice Szenkera mówią między sobą po niemiecku, ale Bruno Szenker już zupełnie czuje się polakiem. Tu, w Polsce urodził się i wychował, ale kształcił się w Berlinie.

Rodzice Szenkera się to ludzie zacni, uczciwi, pracowici.

Ojciec umie robić interesy i żyć dobrze z żoną (nie afiszując się ze swoją utrzymanką).

Matka jest spokojna, łagodna, religijna i posłuszna ojcu, który jak patryjarcha siedzi na pierwszem miejscu przy stole.

Bruno do tej pory bawił się wesoło z koleżankami i używał życia w miarę. To znaczy tak, aby nie wyczerpać zasobu sił, nie nabawić się choroby i nie stracić za dużo pieniędzy! Uczucia w te romanse nie wkładał. Kiedy poznał Martę — wyobraził sobie, że za kulisami teatru F. D. W. w atmosferze pikantno - pornograficznej uda mu się ją nabrać ma wygodny bezpłatny romansik. Podchodził więc do Tarasowiczówny z cynicznym uśmiechem i z łapami w kieszeniach, siedział przy niej rozparty wygodnie i patrzył na nią spojrzeniami, które obrażały i lekceważyły.

Marta w prędkim czasie osadziła go na miej-

scu. Zdumiał się, zbuntował i chciał zawracać. — Była mu niewygodna i trudna. Wprędce jednak zaimponowała mu, zaciekawiła go i podnieciła zblazowane zmysły tym właśnie oporem.

Zaczął ją śledzić i badać. Z chwilą kiedy się przekonał, że nie romansowała z Kossackim i sama własnoręcznie smażyła kotlety z kartofelkami na gazowej maszynce swego mieszkania — postanowił się z nią ożenić.

Wszystko od tej chwili się zmieniło.

Pan Szenker teraz otacza Martę szacunkiem, pyta ją, czy lubi dzieci i czy chodzi w niedzielę do kościoła?

Kirche? Küche? Kinder?

*

Chłopski macha pierwszorzędną kolekcję obrazków.

Na jednym z nich indyczka wyciąga wystraszoną szyję w oczekiwaniu i przeczuciu czegoś złego. Na tle popielatej głowy czerni się jej oko wielkie, krągłe i przerażone, a różowe podgardle zdaje się trząść ze strachu! Obok małe indyczęta śmieszne i podkasane mają żałosne wyrazy dziobów.

Na drugim obrazku kaczki leżą na trawie. Nie są ani białe, ani puszyste — przeciwnie, są brudne, podskubane, a jedna z nich ma wywichnięte skrzydło rozpaczliwie rozpostarte na murawie.

O nędzo podwórka!

Na trzecim żółto - czarny kogut przekrzywia śmiesznie dziób i owisły grzebień w grymasie zadzierżystej, jakby pijackiej buty! Władca psiakrew! Obok... kurzy harem, monotonny, jednakowy, krążący wokoło swego pana i władcy.

O niewolo, o pokoro kurza!

Temat podwórzowy tego cyklu jest wielkiem malarskiem horrendum, ale podejście do tego tematu... Co tu wiele gadać — tylko stać, gapić się i podziwiać!

Malarze jeden o drugim nie lubią dobrze mówić. Jeden drugiego nie lubią chwalić, wiadomo! Ale o tej kolekcji Chłopskiego gadają jaknajlepiej. A już stary Tarasowicz poprostu nad temi obrazkami trzęsie się, jak nad arcydziełem, którego świat nie widział.

Co innego Szenker. Ten nawet te obrazki zapewne kupi i powiesi je nad kanapką u siebie w domu, ale takie głupstwa przytem o tych obrazkach wygadywać będzie, że aż mistrza Chłopskiego omało szlag nie trafi!

Hańcza pracuje nad swojemi klockami drzeworytniczemi, ujawniając z całym entuzjazmem żyłkę zabytkową i swój sentyment do „żywych kamieni" Kazimierza. Każde spróchniałe bierwiono małomiasteczkowego zaułka tchnie w jego pracach romantyzmem.

Inaczej pracuje Zahorski. W swoim kolonjalnym kasku włóczy się po deszczu i poprzez strugi wody maluje wyboje, chodniki z krzywych desek i każe się przeglądać w kałużach wody dzieciakom z wydętemi brzuchami. Dachy jego akwarel błyszczą od deszczu i schody od wilgoci.

Tankiewicz ma jakieś halucynacje na płótnie i jest bardzo interesujący w swoim kazimierskim dorobku artystycznym, pomimo, że nosi takie wściekle kolorowe koszule.

A Marta?

Marty wyobraźnia dekoratorska rozszalała się na dobre. Asocjacje literacko - historyczne zasugestjonowały jej pendzel i w czarowną balladę zamieniły zamek kazimierski, który powstał z ruin i zajaśniał na jej obrazie splendorem epoki Jagiellońskiej. Dom Przybyłów został wskrzeszony i złotem a bogactwem mieszczańskiem rozbłysł. Śpichlerz Fijersztajna ożył i roztętniał życiem patrycjatu mieszczańskiego, co to handlował zbożem, żelazem, solą, a drzewem!

Cała malarja kazimierska interesuje się tą „architekturą wyobraźni". Chłopski udziela jej wskazówek malarskich, a Hańcza wskazówek historycznych, zaczerpniętych z kronik Długoszowych. Zaś ojciec...

W ojcu dusza rośnie z tej wielkiej radości!

A jakże patrzy na jej pracę Bruno Szenker? Czy się nią interesuje? Czy mu ona imponuje? Czy się nią zachwyca? Czy ją odczuwa?

Nie.

Towarzyszy wprawdzie Marcie, kiedy ta maluje, ale nie przygląda się temu „co" ona maluje, tylko przygląda się „jej" samej. Stoi oto z boku w białych sukiennych spodniach, w pantoflach tegoż koloru, okładanych żółtą skórą i w koszuli pięknie wyprasowanej i ozdobionej krawatem kupionym w Londynie.

Chce z nią wciąż rozmawiać i odrywa ją od pracy. Chwilami robi takie wrażenie, jakby o tę pracę... był zazdrosny.

Jeżeli mu się nie udaje zainteresować panny swoją osobą, wpada w zły humor, albo w kontemplację nad jej urodą. Nad długością i pochyleniem jej szyi. Nad soczystością jej piersi i ust. Nad przezroczystością dużych oczu, osłoniętych rondem wielkiego kapelusza. Nad gładkością cery i miękkością owalu.

Bruno Szenker ma wrażenie, że się w tej malarce zupełnie niemądrze zakochał. Jeżeli ją widzi, cierpi nad tem, że ona... go nie widzi. Jeżeli jest od niej daleko — tęskni za nią. I tak źle, i tak niedobrze.

Bruno Szenker fotografuje ją, ażeby mieć jej fotografję zawsze przy sobie. Zdjęcia jego są znakomite. Co to dziwnego. Jego aparat fotograficzny kosztował zagranicą tyle a tyle funtów szterlingów, czy guldenów i ma objektyw taki a taki!

„EMANCYPANTKA Z R. 1886-go".

Gdyby Marcie opowiadano historję jej rodziny za okres ostatniego stulecia, to opowiedzianoby ją mniej więcej tym stylem i w ten a nie w inny sposób:

Hieronim Tarasowicz, herbu Pomian, kochał zagon rodzinny i swą ojczyznę. Gospodarzył więc na majątku Świerzawica Wielka (z przyległościami) i uczestniczył w kampanji Napoleońskiej. Pojąwszy w małżeństwo Karolinę Latycką (herbu Ciołek), miał z nią dziatek pięcioro. Rodowi Pan Bóg błogosławił, gdyż dzieci te wszedłszy w związki małżeńskie — dały ojcu Hieronimowi wnucząt trzydzieści i czworo. (D.c.n.)

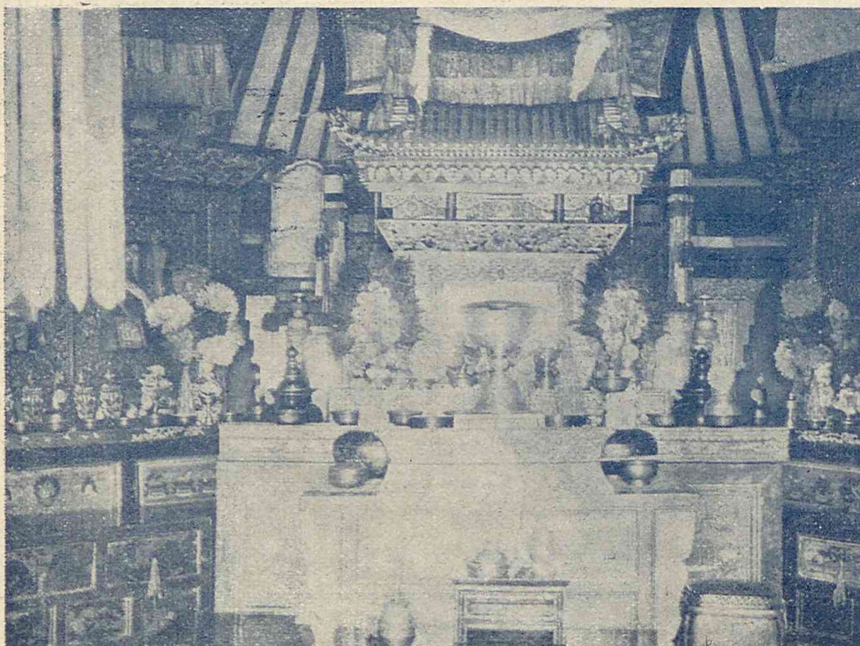


MONGOLJA NA

(własny fotograficzny



Oczy świata z coraz większym niepokojem zwracają się ku Mongolji, gdzie grozi konflikt japońsko - sowiecki. Odległy ten kraj jest dla Europejczyka obcy — a życie jego mieszkańców ma dla nas charakter egzotyczny.



Większość mongołów pod względem religijnym podlega władzy Lamów, narzucających swym wyznawcom surowe reguły życia. Niemal w każdej rodzinie mongolskiej jeden syn przeznaczony jest do życia klasztornego — temu też przypisują nowocześnie nastrojeni młodzi mongołowie słaby stosunkowo przyrost ludności mongolskiej.

Duchowni żyją tam w celibacie. Mongolja północna coraz silniej dąży do wyzwolenia się z lamaizmu i jego surowych przepisów. Zdjęcie powyżej przedstawia damę z możnego rodu mongolskiego z najmłodszym potomkiem w objęciach.

WULKANIE

reportaż „Świata")

Dziewczęta mongolskie odznaczają się kokieterją równie wyrafinowaną, jak kobiety w Europie. Odświętne suknie młodych mongołek sporządzone są (zdjęcie u góry z lewej) z grubego chińskiego jedwabiu. Naszyjniki z paciorków, hafty kolorowe, stroiki głowy z korali i turkusów (ulubione klejnoty mongołów) nie ustępują pod względem bogactwa motywom sztuki ludowej Europy. Zwłaszcza piękne są i bardzo cenione srebrne ozdoby filigranowe — klamry, spięcia, łańcuchy.

■

Przybytki kultu religijnego u mongołów — to niezawsze wielkie i wspaniałe świątynie. Możni mongołowie mają na prywatny użytek w swych domach niewielkie świątyńki — najczęściej w formie namiotów — w których jednak skarby nagromadzonych dzieł sztuki i naczyń religijnych posiadają wartość ogromną. — (Zdjęcie na lewo, u dołu).



Zdjęcie powyżej: typowy przedstawiciel rasy mongolskiej. Wystające kości policzkowe, wązkie chytre oczy, płaski siodełkowaty nas — oto jego cechy charakterystyczne.

■

Zdjęcie obok: wojska mongolskie gromadzą się solidnie uzbrojone. Każdej chwili nastąpić może początek działań wojennych.



Bogaty strój służącej z zamożnej rodziny mongolskiej. Przybranie głowy zrobione jest z korali, kolorowych kamieni półszlachetnych i srebrnego filigranu. Na szyi, na grubym czerwonym sznurze, zawieszone są trzy medaljony — talizmany, broniące od złych oczu, od choroby i od śmierci.



Mongolski generał Ma (z prawej), wraz ze swym adjutantem. Nie należy przypuszczać, aby mongołowie pozbawieni byli wojowniczości i poczucia swej odrębności narodowej. Przeciwnie: ostatnie wypadki na Dalekim Wschodzie dowodzą, że coraz silniej budzi się ich świadomość państwowa — i że, być może niedługo, dojść tam może na tem tle do rozlewu krwi.

Na Kremlu radość

Zanim Sowiety przystąpiły do Ligi Narodów — instytucja genewska była przez nie wyszydzana i miażdżona moralnie jako ośrodek burżuazyjnej reakcji. Od czasu, gdy komisarz Litwinow stał się jedną z osób naczelnych w Genewie, orjentacja wobec Ligi uległa zmianie. Ale zmiana to tylko pozorna, w gruncie rzeczy Sowiety uważają Ligę za pożyteczne narzędzie swej propagandy i polityki. W zatargu włosko-abisyńskim Sowiety należały do najbardziej bezwzględnych. Bo w interesie rewolucji międzynarodowej, w interesie sowieckim odległa wojna, wojna zdala od granic sowieckich byłaby pożądana. Ta intencja wyszła na jaw, gdy zbankrutowała możliwość kompromisu po zawaleniu się planu Laval - Hoare. Wówczas to Radek pisał w „Izwiestjach": „przyjaciele pokoju spodziewają się, że teraz Wielka Brytanja zastosuje politykę bezwzględnej obrony pokoju". Zachęcanie Anglji do bezwzględnej polityki, to pragnienie przyciśnięcia Włoch do muru. To stawianie na ryzykowną kartę absolutnych sankcji.

Rocznica Verlaine'a

8-go stycznia upłynęło czterdzieści lat od śmierci Verlaine'a. Obecnie rocznica ta przechodzi bez żadnych uroczystości. Dawniej „przyjaciele Verlaine'a" zbierali się, by wspólnie złożyć palmę przed biustem zmarłego. Ale, ponieważ poeci zaziębiali się przy recytacjach wierszy, odłożono tę ceremonję do piękniejszej pory roku. Bo, jak zauważył ówczesny przewodniczący „Przyjaciół Verlaine'a", Gustaw Kahn: „Ażeby uczcić zmarłych, nie należy jednak zabijać żyjących".

Ten sam Gustaw Kahn przypomina, że Verlaine komponował swoje utwory gdziekolwiekbądź, na rogu stołu, w kawiarni, na ulicy. Rytm własnych kroków był dla niego natchnieniem.

*

WŁODZIMIERZ ŁUKASIK

POWRÓT ODYSSA

Dramat

Akt. 1.

Scena przedstawia wnętrze pałacu Odysseusza. Na pierwszym planie Penelopa, zajęta tkaniem na krosnach.

Penelopa: (śpiewa) — La, la, la, tra, la, la!...

Niewolnik: (wchodzi) — Pani dzwoniła?

Penelopa: — Tak; każ służbie uprzątnąć cały dom, przybrać girlandami z kwiatów i festonami, a przed wejściem zawiesić napis „Witajcie". Dzisiaj bowiem przybywa mąż mój a wasz pan, niezwyciężony Ulisses. Zrozumiałeś?

Niewolnik: — Rrrozkaz! (oddala się).

Akt. II.

Ulisses: (wchodzi) — Halo! Jak się masz?

Penelopa: — Mężusiu kochany! Dwadzieścia lat... dwadzieścia długich lat...

Ulisses: — Dobrze, dobrze, tylko bez histerji — lepiej spójrz na moje ręce. Dotknąłem się tylko do kominka i wyglądam jak murzyn. Dlaczego nie sprzątnęłaś w salonie?

Penelopa: — Owszem, kazałam sprzątnąć, tylko...

Ulisses: Naturalnie, wystarczy, że mnie niema przez jakiś czas, żeby wszystko w domu stanęło na głowie. Wszędzie kurz, miotła w dzieży z ciastem, tapczan niezasłany, a mój kubek, mój piękny porcelanowy kubek z Cypru w kawałkach!!! Cóż to za młodzi ludzie tam w ogrodzie?

Penelopa: — To są zalotnicy.

Ulisses: — Aeronauci?

Penelopa: — Nie, oni starają się o moją rękę.

Ulisses: — Ah, więc to ci, których mam pozabijać i rozpędzić. Dobrze, zostawmy to do jutra. Pójdę teraz zobaczyć, czy zboże już zwiezione. (Wychodzi).

Akt. III.

Theano: (wchodzi). — Cóż masz taką minę, jakby ci krawcowa zapsuła peplum?

Penelopa: — Wyobraź sobie, moja droga, przed chwilą wrócił Ulisses i zaraz na wstępie zrobił mi awanturę, że w domu nieporządek.

Theano: — Ulisses, powiadasz. O ile się nie mylę, to twój mąż.

Penelopa: — Oczywiście, powinnaś przecie o tyle znać historję.

Theano: — Wybacz, pomieszały mi się daty. Och! jakżebym chciała osobiście poznać wielkiego króla Troji!

Penelopa: — Nie Troji, tylko Itaki.

Theano: — Taki czy owaki, zawsze pozostanie dla mnie najwspanialszym mężczyzną czasów starożytnych.

Ulisses: (wchodzi) — Naturalnie, dach w stodole przecieka i wszystko zboże zamokło. (Spostrzegłszy Theano) — Pani...

Penelopa: — Pozwolisz, że ci przedstawię moją przyjaciółkę, Theano.

Theano: — Jest mi niezmiernie miło poznać tak znakomitego męża. Słyszałam, że pan odbył wspaniałą podróż.

Ulisses: Istotnie, bardzo piękną.

Penelopa: — Opowiedzże nam coś ze swych przygód.

Theano: — Niech pan opowie, to musi być szalenie interesujące!

Ulisses: — Kiedy już nie pamiętam, zresztą wszystko dokładnie opisane znajdziecie u Homera.

Theano: — A co porabia Cyrce czarodziejka?

Ulisses: — Cyrce? Zrobiła interes. Założyła wielką hodowlę nierogacizny i eksportuje wieprze i bekony na Sycylję, Maltę, Cypr i południe Europy.

Theano: — A Kalipso?

Ulisses: — Za nimfę jest teraz u Posejdona.

Theano: — A Charybda. Troada, Palameda, Pompea, Iljada?

Ulisses: — Dajcie mi spokój z temi babami. Już nie pamiętam.

Penelopa: — Ale Heliosa pamiętasz?

Ulisses: — Hm... tak... żarówki...

Theano: — A Menelausa?

Ulisses: — ....

Penelopa: — Parysa?

Theano: — Diomedesa?

Penelopa: — Nestora?

Theano: — Achillesa?

Penelopa: — Agamemnona?

Theano: — Priama?

Penelopa: — A nieregularnych semideponentia czwartej koniugacji też nie pamiętasz? A futurum exactum od eo? A infinitivus perfecti passivi od amo, a gerundivum od lego, a pronomina interrogativa — też nie?

Ulisses: — Nie, nie i nie!! Dach w stodole przecieka! Pajęczyny pod sufitem, w kuchni statki nie pozmywane, wanna nie wyszorowana, szyby w oknach brudne, z komina się dymi, a ty mi o Cyrce — Szmyrce!!! Dosyć! Basta! Żegnam was ozięble! Po dwudziestoletniej tułaczce człowiek chciałby w domu odpocząć, a tu nieporządek na każdym kroku. Dosyć — powiedziałem! Wyjeżdżam. Do Afryki pójdę się bić z Etjopami. Długo będziecie jednak czekać na następnego Homera! Au revoir! (Wychodzi).

Akt. IV.

Penelopa: (śpiewa) — La, la, la, tra, la, la!

Niewolnik: (wchodzi) — Pani dzwoniła?

Penelopa: — Tak, przynieś mi cztery kłębki wełny zielonej, dwa niebieskiej i jeden kłębek angory.

Niewolnik: — Rrrozkaz! (Wychodzi).

Penelopa: — Ha! cóż! Trzeba będzie rozpocząć nanowo tkać. Tym razem jednak nie będę głupia i zamiast śmiertelnej szaty dla teścia zrobię sobie na drutach pulowerek.

WITOLD BUNIKIEWICZ

ŻYCIE W KOLORACH

POWIEŚĆ

Każdy nowy prenumerator „Świata" otrzyma początek powieści W. Bunikiewicza „Życie w kolorach", której druk rozpoczęliśmy w październiku.

Moskale ich głodzą, odcinają nosy i uszy, smażą na wolnym ogniu, lub używają jako bydła pociągowego.

W ten sposób chciał podtrzymać upadającego ducha w żołnierzach, którym zresztą było wszystko jedno; nie entuzjazmowali się zwycięstwami i nie mieli nienawiści do wroga. Widoki, które oglądali, wzbudzały w ich duszach więcej sympatji do nieprzyjaciela, niż do własnego wojska. Szli obojętnie, zatrzymywali się, rozwijali tyraljery, trwali na pozycjach z uporem, ale gdyby zapytać, poco to wszystko czynią, odrzekliby bez wahania — na komendę pana leutnanta. Śmierć i kalectwo nie napełniały taką grozą serc żołnierskich, jak obraz spustoszonych okolic.

Nie stanęła jeszcze w tym kraju noga nieprzyjacielska, a wyglądał już jakby przeszedł po nim niszczycielski orkan.

— Madziarzy tu byli, opowiadali mieszkańcy, wskazując na ogołocone obory, puste kurniki, rozebrane płoty i szkody w gospodarstwie, wyrządzone nietyle z potrzeby, ile ze swawoli i radości zniszczenia.

Psy nawet wieszano w zagrodach, a bartnikom palono pszczoły w barciach, bo gdy wojna, żadne stworzenie nie ma prawa do życia.

W lasach ukrywały się gromady kobiet i dzieci, wylękłych śmiertelnym strachem.

Mieszkali w pieczarach wraz z ocalonem od rekwizycyj bydłem.

Przemarsze wojsk wyzuły ich z ostatniej garstki zboża, ścięte snopy wypasiono końmi, a z zagonów wydarto ziemniaki. Nie zostało im nic, prócz życia i nędzy.

Wraz z ustępującem wojskiem ciągnęły tłumy ludzkie w pojazdach i pieszo. Dążyli wprzód, bez planu i celu. Niewiadomo, gdzie się miała skończyć ich droga, często zaś kończyła się w rowie przydrożnym, gdy koniom lub ludziom tchu już więcej nie stało na dalszą tułaczkę.

Zasiadali nad pielgrzymiemi węzełkami i obojętnie czekali na dalsze zdarzenia. Nikt się o nich nie troszczył i nikt o nich nie myślał.

Skwarna, sierpniowa pogoda prażyła ogniem, a tumany kurzu, rozpylane tysiącami nóg ludzkich i końskich, tamowały oddech.

Piperitz utrzymywał wprawdzie, że studnie są zatrute, ale pragnienie przemogło i oglądał się za źródłem, lub strumykiem, aby zwilżyć usta. Przechodzące wojska wyczerpały jednak studnie do dna i osuszyły kałuże, do strumyków zaś cisnęło się takie mrowie ludzkie, iż żłopały już nie wodę, ale wilgotne błoto.

Na śmierć duszono się w ścisku i rozbijano łby kolbami, walcząc o dostęp do gnojówki.

A tłumy szły za tłumami, rzadko w ordynku, zwykle jednak gromadami: armaty, konie, wozy, piesi i automobile, pomieszane w piekielnym tłoku.

Nikt nie słuchał rozkazów i nie obał o starszyznę, a każdy żywszy odgłos dział, grzmiących na tyłach, przynaglał do pośpiechu.

Armja ustępowała.

Ervelinga nie było już przy bataljonie, gdyż dostał szału, zbił do nieprzytomności swego ordynansa i uzbroiwszy się w jego karabin, groził każdemu śmiercią, kto zbliży się na odległość dziesięciu kroków.

Z trudem ubrano go w kaftan bezpieczeństwa i odstawiono na tyły.

Dowództwo objął Strzelbicky.

Dumny był z nowej godności, gdyż pragnął zawiesić czemprędzej na piersiach order, aby spodobać się pewnej, bardzo interesującej dziewczynie, którą poznał przed kilku dniami podczas marszu. Uciekała wraz ze swą matką przed wojskami rosyjskiemi i zwróciła się do niego najczystszą niemczyzną z prośbą o wskazanie drog ku granicy węgierskiej.

(D. c. n.)

ZABAWY LUDOWE

W MALARSTWIE POLSKIEM.

Ze zbiorów Tow. Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie



Teodor Axentowicz Oberek



Wojciech Piechowski Oczepiny

ANIELA WALDENBERGOWA.

NOWINA

Czekalski, siedząc w wagonie, pędzącym w stronę Poznania, niecierpliwił się. Zazwyczaj uspokajał go rytmiczny stuk kół o szyny, przywodząc na myśl najróżniejsze melodje. Dzisiaj nie był muzycznie nastrojony, natomiast próbował urozmaicić sobie jazdę obserwowaniem towarzyszów podróży. —

Znudził go prędko ich widok: tęgi kupiec, przesadnie elegancko ubrany młodzieniec ze złotą bransoletką na ręce i na ponsowo wymanikiurowanemi paznokciami, jakaś młoda matka z niemowlęciem w poduszce, na szczęście śpiącem spokojnie. — „Nieciekawi" pomyślał Czekalski, wyciągnął notes i zaczął w nim skrzętnie coś notować. Wypisywanie cyfr podziałało nasennie i niebawem nasz podróżnik, oparłszy głowę o ścianę, zasnął. —

Zbudził go konduktor: — Pan szanowny do Gniezna? Już dojeżdżamy. —

Czekalski nie znał Gniezna. Wprawdzie jako siedmioletni chłopiec spędził tam ongi kilka godzin, lecz we wspomnieniu pozostała mu tylko katedra. —

„Trzeba się zapytać o drogę szkoda tracić czasu", pomyślał i zatrzymał pierwszego mijającego przechodnia. Oczywiście, jak to zazwyczaj bywa, podszedł do przyjezdnego. Okazało się, ów jegomość również pragnąłby się dowiedzieć, którędy idzie się na rynek.

Dwie rozchichotane pensjonarki wskazały obydwóm panom drogę i wkrótce Czekalski stanął na ulicy przed oznaczonym numerem. Zadarł głowę do góry i doszedł do wniosku:

„Niczego sobie, przyzwoita kamienica, tylko, że teraz nic nie można wiedzieć". Na liście lokatorów nie znalazł nazwiska Wiesławy Załęskiej. Zapytał dozorcy.

— Wiesława Załęska! Aha, nauczycielka. Nie mieszka. — Szurowa ją wyeksmitowała. — Niech pan wejdzie na trzecie piętro do gospodyni. Może tam powiedzą, gdzie się Załęska wyprowadziła.

— Kto tam? — rozległo się groźnie z poza zamkniętych drzwi, gdy Czekalski zadzwonił do mieszkania pani Eulalji Szurowej.

— Pragnąłbym się dowiedzieć o adres pani Wiesławy Załęskiej — objaśnił Czekalski.

— Jeżeli panu się zdaje, że pan wydostanie od niej jakieś pieniądze, to się pan grubo myli — krzyknęła ochrypłym głosem właścicielka domu, opasła, w kraciasto zielonej sukni, podstarzała niewiasta: — Obiecywała, że zapłaci, skamlała, żeby jej nie wyrzucać, a jak przychodził pierwszy to się kładła do łóżka, niby chora.

— Mamusiu, przecież nie wiesz, czy pan jest wierzycielem cioci Załęskiej, więc...

— Cicho, smarkata! Jakiej tam cioci! Dawała dzieciom lekcje francuskiego, to ją zaraz ciocią przezwały. Mówiłam ci, żebyś mi z żadną ciocią nie wyjeżdżała i to jeszcze przed obcymi.

— To poco mama oczernia cio... panią Załęską!

— Czy zechciałaby mi pani ostatecznie powiedzieć, jaki jest adres pani Załęckiej? — przerwał sprzeczkę rodzinną zniecierpliwiony Czekalski.

— Ja tam nie wiem, gdzie takie tałałajstwo, co nie płaci, mieszka — wrzasnęła pani Szurowa, gotowa zatrzasnąć mu drzwi przed nosem.

— Co mama wyrabia? — krzyknęła dziewczynka, odsunęła matkę i przymykając drzwi, szepnęła: — Niech pan zaczeka na schodach, zaprowadzę pana.

Przyszła po chwili. Z pod futrzanej czapeczki wymykały się złociste loki, buziak krasił rumieniec, widać było, że dziewczynka jest wzburzona i z trudem wstrzymuje łzy.

— Wolę pójść z panem, bo ciocia Załęska mieszka teraz za miastem. Ach, proszę pana, cośmy się z bratem naprosili mamy. Ale już przeszło pół roku zalegała z komornem, a od czasu choroby...

— Pani Załęska jest chora?

— Niedomagała stale, bo jak bolszewicy spalili jej dwór, pieszo uciekała do granicy, a jeszcze musiała nieść swego młodszego brata. Chorowała na nerki. Ostatnio zaziębiła się, przez dłuższy czas leżała w szpitalu. Straciła lekcje. To bardzo nieszczęśliwa kobieta, a jaka dobra i delikatna, proszę pana, jeżeli pan ma jej coś do powiedzenia, niech pan to zrobi oględnie, bo ciocia wzrusza się łatwo i zaraz ją potem serce boli.

— Dobrze, śliczna panienko, dobrze! Czekalski przyśpieszył kroku.

— Czy pan jest naprawdę wierzycielem cioci? — zatrzymując się nagle zapytała dziewczynka. — Bo jeżeli tak, to pana nie zaprowadzę.

— Ależ, nie, panieneczko. — Chodźmy, bo szkoda czasu. Albo wie, pani, co? Wsiądźmy do dorożki. Będziemy prędzej na miejscu.

Przewodniczka spojrzała uważnie na Czekalskiego. Widocznie nabrała do niego zaufania.

— Dobrze, pojedźmy, to daleko stąd. I niech mi pan mówi Basiu.

— Dobrze, panno Basiu.

Dychawiczna szkapa z trudem wyciągała nogi z błota, gdy wyjechali za miasto. Wreszcie dorożka zatrzymała się przed małym drewnianym domkiem.

— To tu — szepnęła Basia, jakby wstydząc się, że ciocia Załęska mieszka w takiej ruderze.

Kryte, wąskie schody prowadziły na facjatę.

Basia zastukała do drzwi.

Przez chwilę nikt się nie odzywał, potem słychać było kroki i drzwi uchyliły się trwożliwie.

— Kto tam?

— Ciociu, to ja, Basia.

Drzwi otworzyły się naoścież, jakby radośnie skrzypiąc. W progu stała młoda kobieta. Ujrzawszy Basię, przytuliła ją do siebie.

— Tak cię dawno nie widziałam, Basieńko! Zapom... Ach, przepraszam, nie zauważyłam, że nie jesteś sama. Czego pan sobie życzy?

— Pani pozwoli, że się przedstawię, jestem Czekalski. Czy wolno mi na chwilę wejść do pokoju?

— Bardzo proszę. Niech pan nie zdejmuje palta, zmarźnie pan. Wprawdzie palę stare zeszyty, ale mało dają ciepła. Czy aby nie sprowadza pana nic złego? Od kilku lat lękam się własnego cienia.

— Niech pani będzie spokojna. Pragnąłbym pomówić z pa-

nią w pewnej kwestji... Czekalski obejrzał się w stronę Basi.

— Basieńka nam nie przeszkodzi. Jest taka dyskretna. To moja jedyna przyjaciółka, która mi pozostała. Niestety, ludzie nie lubią przyjaźnić się z biedą, a jak pan widzi, nie jestem bogatą.

Czekalski rozejrzał się po pokoju: stolik, dwa krzesła, łóżko żelazne, na stołku stos książek, w kącie maszynka spirytusowa, na ścianach natomiast portret starszej kobiety w czarnej sukni z kołnierzem z prawdziwych koronek, kilka minjatur w owalnych ramkach, zabytki lepszej przeszłości...

— Otóż, proszę pani — zaczął Czekalski, dziwnie wolno skandując sylaby — mam dla pani niezłą nowinę.

Pani Załęska poruszyła się niespokojnie.

— Ciociu, nie lękaj się — uspakajała Basia, pan Czekalski jest naszym przyjacielem.

— Widzi pan, serce moje jest trochę zmęczone i boleśnie reaguje zarówno na złe, jak i na dobre nowiny.

— To też będziemy małemi dawkami stosowali lekarstwa. — Pani udziela lekcji francuskiego?

— Tak.

— Otóż wakuje posada nauczycielki francuskiego, trzysta złotych miesięcznie. Czy odpowiadałyby pani te warunki?

— Panie drogi, tożto majątek dla mnie! Ale skąd pan wie, czyby mnie przyjęli?

— Powiedzmy, że wiem... Ale zaraz. Niech mi pani powie, proszę, czy grywa pani na loterji?

— Właściwie nie ja gram, tylko mój brat. Po ukończeniu politechniki nie mógł znaleść posady. Spieniężyłam wszystko, co miało jakąś wartość i Jerzy, t. j. mój brat wyjechał do Sao Paulo w Brazylji. Mamy tam wuja fabrykanta, może znajdzie się jakaś praca. Brat wyjeżdżając kupił mi los na loterję i zostawił pieniądze odrazu na wszystkie klasy: „Zabrałem ci resztkę twego mienia, Bóg raczy wiedzieć, kiedy będę wstanie oddać ci ten dług, a bardzo mi ciąży" — powiedział do mnie ze smutkiem. Przechodząc koło kolektury, spojrzałem na wystawę i coś mnie tknęło. Może dobry los uśmiechnie się do nas i przestanę się o ciebie zamartwiać.

Musiałam mu dać słowo honoru, że losu tego nie sprzedam, nawet gdyby mi najbardziej trzeba było pieniędzy...

— Oczywiście, losu o tak szczęśliwym numerze się nie oddaje...

— A skądże pan wie, jaki ja mam numer?! — wykrzyknęła pani Załęska coraz bardziej zdumiona.

— Nietylko numer pani losu jest mi znany, ale...

— Ciocia wygrała na loterji!! — krzyknęła Basia, klaszcząc w ręce i podbiegła do Czekalskiego: — Niech pan powie, niech pan prędko powie, czy tak?

— Zaraz, zaraz, panno Basiu! Niech pani poczeka. Proszę odsłonić uszko, a szepnę pani odpowiedź, by ją pani powtórzyła pani Załęskiej.

Przez chwilę pokój zaległo milczenie...

— Ciociu! — przyskoczyła do pobladłej z wrażenia pani Załęskiej Basia, — ciociu, wygrałaś dwadzieścia tysięcy! Och, Boże, jak ja się cieszę! Zaraz się stąd wyprowadzisz. I kupisz sobie ciepłe palto i nowe buciki i pójdziemy do cukierni i do kina i...

— Panno Basiu, niech pani przestanie tak ściskać ciocię, czy pani nie widzi, że pobladła?

— To nic, to nic, drogi panie. Przeciwnie. Uszczypnij mnie, Basiu, żeby mi się nie zdawało, że śnię. Już zapomniałam, co to jest radość. A dzisiaj wolno mi się ucieszyć. Więc mieli rację, co mówili, nie niema człowieka, któremu nie należałoby się w życiu trochę radości. Tylko trzeba umieć wyczekać i nie tracić nadziei...

I łzy, dotąd powstrzymywane, cisnęły się do oczu pani Załęskiej. Ale były to łzy nieszkodliwe, łzy radości...

Basia, widząc ciocię płaczącą, chlipała głośno, potem podbiegła do Czekalskiego i zanim się spostrzegł, pocałowała go w rękę.

W KARNAWALE



Pani Zoja, właścicielka Salonu kosmetycznego przy ul. Służewskiej 4 wśród swych klientek, Nagrodzonych Piękności: p. Olgi Sławskiej (na lewo), Królowej Mody, oraz p. Niny Grudzińskiej (na prawo), Najpiękniejszej Pani Warszawy.

Coraz szybciej

Aby zwalczyć konkurencję aeroplanów na trasie New-York — San Francisco, koleje amerykańskie uruchomią wkrótce nowe lokomotywy aerodynamiczne. Lokomotywy te będą poruszane motorem o sile 1200 koni! Dzięki tym nowym lokomotywom na wymienionym dystansie koleje amerykańskie „zarobią" 24 godziny.

Pędzimy. Szybkość wszędzie i wszystkiego zwiększa się. Ludzkość wytrwale i z uporem coraz mniej czasu ma na treść. Tempo wrażeń rośnie tak szybko, iż wrażenia przestają mieć jakąkolwiek wartość. Dawne twierdzenie o podróżach, które „kształcą", staje się anachronizmem. Dziś podróż — to przeniesienie się z miejsca na miejsce. Pożeramy kilometry — stuk kół, miganie krajobrazu, zbliżenie momentu powrotu z chwilą wyjazdu, to jakby nasza główna sprawa. Jaknajwięcej zobaczyć — jaknajmniej przeżyć, oto nowa formuła, którą nam narzucił demon szybkości.

ZULA POGORZELSKA NIE ŻYJE



Zula Pogorzelska, ulubienica publiczności stolicy, czarujące zjawisko na scenie rewjowej — nie żyje. Pamiętamy wszyscy, jak jeszcze niedawno — przed dwoma laty — występy jej w „Cyganerji" wywoływały burzę oklasków. Zamieszczamy zdjęcie Zuli z jej ostatniego występu, po którym nieubłagana choroba zmusiła świetną młodą artystkę do usunięcia się ze sceny u zenitu swej karjery. Olbrzymie tłumy, które oddały ostatni hołd zmarłej artystce w dniu jej pogrzebu na Powązkach, świadczyły wymownie, jak bardzo Zula Pogorzelska była przez wszystkich kochana.

L. BUYNO

LITERATURA W ANGLJI

PODRÓŻ SENTYMENTALNA CZYLI DICKENS W ŚWIETLE PSYCHOANALIZY

Do niedawna nie było właściwej biografji Karola Dickensa. Wszystkie książki o nim zajmowały się raczej samem jego dziełem, wpływem na czytelników i pozycją dzieła w literaturze wiktorjańskiej. Za przykład może służyć egzegetyczna praca społeczno-moralna G. K. Chesterton'a. Chesterton wkłada następujące słowa w usta „czysto artystycznego krytyka": „...Tak, oto twe zadanie, dowieść, że Dickens był podziwu godny, mimo, że był podziwiany." Chodzi tu o olbrzymią, niespotykaną popularność Dickens'a, która spowodowała wiele podrażnienia i zaciekawienia wśród jego krytyków. Zato ten dobrotliwy prorok ubogich, oglądany przez pryzmat swych powieści, wydawał się zbyt prosty i mało ciekawy, tembardziej, że wiele materjału biograficznego uzyskano dopiero stosunkowo bardzo późno.

Hugh Kragsmill użył metody odwrotnej: — przez pryzmat postaci autora, na którą rzucił pełne światło nowoczesnych badań, spojrzał na jego dzieło i niedługą swą książkę, której nie uważa za wyczerpującą, nazwał *Podróżą sentymentalną. (The Sentimental Journey. A Life of Charles Dickens. Wishart Co).*

Hugh Kingsmill jest krytykiem literackim, autorem kilku biografij (m. in. Matthew Arnold'a, Samuela Johnson'a i Franka Harris'a) i redaguje on dodatek literacki przy miesięczniku *The English Review.*

Podróż Sentymentalna jest czasem zbyt może śmiała i jednostronna, trochę za wiele też polemizuje z Chesterton'em, którego praca pisana jest na zupełnie innej płaszczyźnie. Ale Kingsmill ma błyskotliwy styl i duży zasób świeżego, ciętego dowcipu: ostremi, prawie brutalnemi linjami nakreślona postać Dickens'a jest pełna prawdziwie ludzkiego życia, a książka może być ilustracją stosunku wieku XX-go do t. z. „postawy wiktorjańskiej".

Wiktorjańską postawę Kingsmill streszcza w ten sposób: „W Anglji bezpośrednim skutkiem Rewolucji Francuskiej i groźby Napoleona było zatamowanie wszelkiej formy ekspansji z wyjątkiem rozwoju przemysłu. Przerażeni demokracją i ateizmem Rewolucji religijni i bogaci skupili się, aby bronić ustanowionego porządku rzeczy." Rzadko kiedy ustanowiony porządek rzeczy miał tyle strachów, co wiktorjański. Lękał się poezji, myśli, biedy, płci i wojny. Aby je odeprzeć, podzielono każde zkolei niebezpieczeństwo na dwie części: jedną całkowicie dobrą, drugą całkowicie złą. I tak poezję uznano za dobrą, jeśli była dziełem Tennyson'a, czy Longfellow'a, a za złą, jeśli Swinburne'a, czy jakiego francuskiego poety. Wojnę uznano za godziwą, jeśli wydała ją Anglja, — za barbarzyńską, — jeśli inny naród. Filozofów i uczonych uznano za pożytecznych, jeśli wierzyli w rodzinę, historje stworzenia wg. Genezis i osobistą nieśmiertelność, za szkodliwych jeśli nie — i tak dalej. Jednem słowem, epoka, w której wzrastał Dickens, starała się stłumić w sobie świadomość tych wszystkich rzeczy, które ją niepokoiły, stłumić, wytwarzając nierzeczywisty obraz świata. W naturze Dickens'a odbiło się to rozdwojenie moralne epoki i czarno-biały pogląd na świat.

Dickens urodził się w warunkach skromnych, które zmieniły się na b. ciężkie, tak że w wieku lat 11 został umieszczony w fabryce pasty do butów, prowadzonej przez kuzyna matki. Po mniej więcej półtorarocznym tam pobycie wrócił do szkoły jeszcze na jakieś 2 lata. Mimo, że w fabryce traktowany był bardzo dobrze, wspomnienia z niej wraz z faktem, że rodzice nie dali mu lepszego wykształcenia, do końca życia były dlań źródłem cierpienia i udręki oraz żalu do rodziców, którym nie mógł swego dzieciństwa darować. Tu leży zarodek litości nad samym sobą, która okazała się jedną z zasadniczych cech w jego naturze.

Młodzieńcza miłość również nie dała Dickens'owi zadowolenia. Odrzucony przez Marję Beadnell, zbyt prędko ożenił się z Catherine Hogarth', (córką wydawcy The Morning Chronicle, która drukowała Dickensa szkice). Kate podobała mu się fizycznie i działała na jego próżność swoją miłością, ale szczęście minęło bardzo szybko. Zato równie szybko przyszło powodzenie i sława, sukces literacki i materjalny, któryby mu był pozwolił łatwo ożenić się z Marią.

Wg. Kingsmill'a życie dorosłego Dickens'a można podzielić na trzy okresy: Pierwszy do wyjazdu do Ameryki — streszcza się w nieszczęśliwem małżeństwie i błyskawicznej karjerze. Drugi zamyka się między wyjazdem do Ameryki a formalną separacją z żoną czyli publicznem wyznaniem nieudanego małżeństwa. Obok nieporozumień domowych Dickens'a absorbują główne podróże i organizowane przez niego prywatne przedstawienia teatralne. W okresie ostatnim — od rozejścia się z żoną aż do śmierci — najważniejszemi wydarzeniami są: romans z aktorką Ellen Ternan i publiczne czytania wyjątków z dzieł, które pochłaniały Dickens'a, stając się dlań jakgdyby opętaniem. Nie chciał za nic się ich wyrzec, mimo wyraźnie psującego się zdrowia. Od choroby w r. 1864 okulał, a wypadek kolejowy, w jakim się znalazł w r. 1865, pozostawił trwałe ślady nerwowego wstrząsu. Jednak Dickens odpychał myśl o chorobie i umarł w niespełna trzy miesiące po ostatniem czytaniu.

Twórczość Dickens'a Kingsmill również dzieli na trzy okresy. Pierwszy kończy się powieścią *Barnaby Rudge*. Po wyjeździe do Ameryki wstrząsnął Dickens'a podział na złych arystokratów, uczciwych kupców i śmiesznych biedaków, co odbiło się po powrocie w powieści *Martin Chuzzlewit.* Dickens starał się zapomnieć o tem przykrem wrażeniu w opowieściach wigilijnych i w *Dombey i Syn. Dawid Copperfield* to nawrót do dzieciństwa i zaczerpnięcia świeżego tchu, który jednak nie na długo starczył. Począwszy od *Bleak House* następuje okres trzeci, powieści coraz bardziej zagmatwanych.

A teraz jak Kingsmill przedstawia Dickens'a. Dla tłumów był on „kaznodzieją miłości śmiechu i współczucia, prostych radości i pustej satysfakcji bogactwa i przepychu". Dla naj-

bliższych tymczasem był to człowiek o wrodzonej wewnętrznej dysharmonji. Najgłębszem i najtrwalszem jego wzruszeniem było uczucie, że został oszukany przez życie. Idealne adoracje, jakie żywił dla różnych osób, dostarczały mu obrazów szczęścia, które, w jego mniemaniu, inni posiadali, a jemu nie udało się osiągnąć. Możeby się swem nieszczęściem tak bardzo nie przejmował, gdyby nie był takim bezgranicznym egoistą. W rezultacie otrzymaliśmy zalew litości nad samym sobą z przebijającem gdzieniegdzie niewyraźnem poczuciem winy. Trzy główne objawienia dickensowego nieszczęścia, pisze Kingsmill, to *Oliwer Twist, Ciężkie Czasy* i *Nasz Wspólny Przyjaciel.* Pierwsza powieść przedstawia nieszczęście dickensowego dzieciństwa, druga — nieszczęście jego małżeństwa. W obu autor uważa się za ofiarę. W *Naszym Wspólnym Przyjacielu* atmosfera jest mniej przygnębiająca, ale bardziej rozpaczliwa. Z odepchniętą żoną i trapioną wyrzutami sumienia kochanką trudno nawet Dickensowi jeszcze uważać się za ofiarę.

Jednem słowem, Dickens to wyjątkowy wypadek, aby tak utalentowany pisarz był tak niezdolny do oderwanego, objektywnego spojrzenia na siebie i na rzeczywistość. Gdyby nie ta podległość wyobraźni twórczej Dickensa jego egoizmowi, — co spowodowało brak czystego piękna i ujścia w nieskończoność w jego pismach — gdyby nie ta niewola, Dickens dopiero ukazałby nam całą swą wielkość.

Tak, jak jest, gdy odrzucimy sentymentalizm i zamiłowanie do okropności, pozostanie jeszcze to, co czyni Dickensa wielkim, czyli jego humor. Dlatego największem jego dziełem jest *Klub Pickwicka.* (To także rzadki wypadek, żeby pierwsza właściwie książka była najlepszą).

Na zakończenie należy wspomnieć, że, choć sąd Kingsmill'a o Dickensie, jako człowieku, brzmi tak surowo, zdają się go popierać listy Dickensa do żony, które zostały ostatnio opublikowane. Kingsmill napisał recenzję o nich do *Time and Tide,* tygodnika redagowanego przez Lady Rhondda. Na to Bernard Shaw wystosował do tego tygodnika list arbitralnie zaprzeczający dowodzeniu Kingsmill'a. Pokłócili się o to, czy Dickens kochał żonę. Shaw twierdzi, że tak, a Kingsmill — i słusznie, — że nie. (Wogóle w kwestjach, dotyczących miłości, trudno uważać Shaw'a za autorytet, gdyż on sam jest pod tym względem, jak i pod innemi, oryginałem). Jednak *Time and Tide* odmówił wydrukowania odpowiedzi Kingsmill'a. Ten nie omieszkał zato zamieścić złośliwej relacji wydarzenia w *The English Review.* Przypomina w niej swą parallelę Dickensa z Shaw'em w *Podróży Sentymentalnej.* Obaj należą do typu reformatorów społecznych, którzy atakują, mając tłum za sobą i są nagrodzeni za to powiększeniem dochodu i popularności.

WSZYSTKIE ZAWODY

Fortuna nie zapomina o żadnym zawodzie i obdarza swemi względami zarówno pracowników umysłowych, jak i fizycznych, rolników, przemysłowców, kupców, rzemieślników.



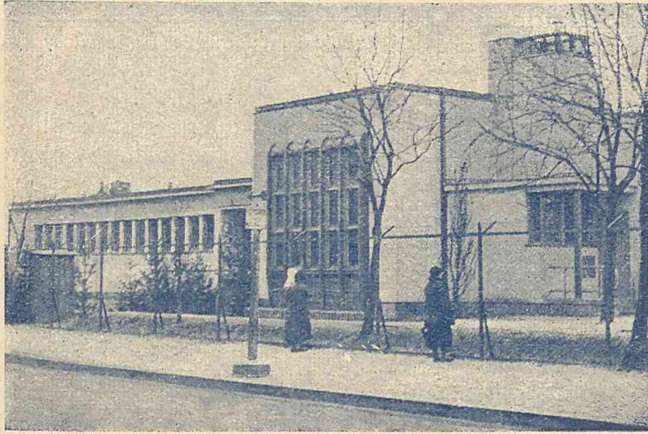
Przedstawicielami rzemiosła są np. p.p. **Edward Kolicki,** malarz pokojowy i **Aleksander Mielczuk,** piekarz, obydwaj zamieszkali w Wołominie pod Warszawą. Nabyli oni do spółki ćwiartkę losu Nr. 173404, na który w IV-ej klasie 34-ej Loterji padło 50.000 zł. Każdy z nich otrzymał po 5.000 zł.



P. Stanisław Wojda, zamieszkały przy ul. Miodowej 11, w Warszawie, jest żywym dowodem, iż wiara licznych graczów, że kominiarz przynosi szczęście, ma swoje uzasadnienie — sam bowiem jest kominiarzem, a na los, przez niego posiadany, padło 1.000 zł.

P. Wojda ma nadzieję, że w 35-ej Loterji, której ciągnienie I-ej klasy rozpocznie się 20 b.m. napewno wygra znacznie więcej. —

WARSZAWA SWYM DZIECIOM



Widok ogólny pawilonu
przy IV ogródku Jordanowskim na Powiślu



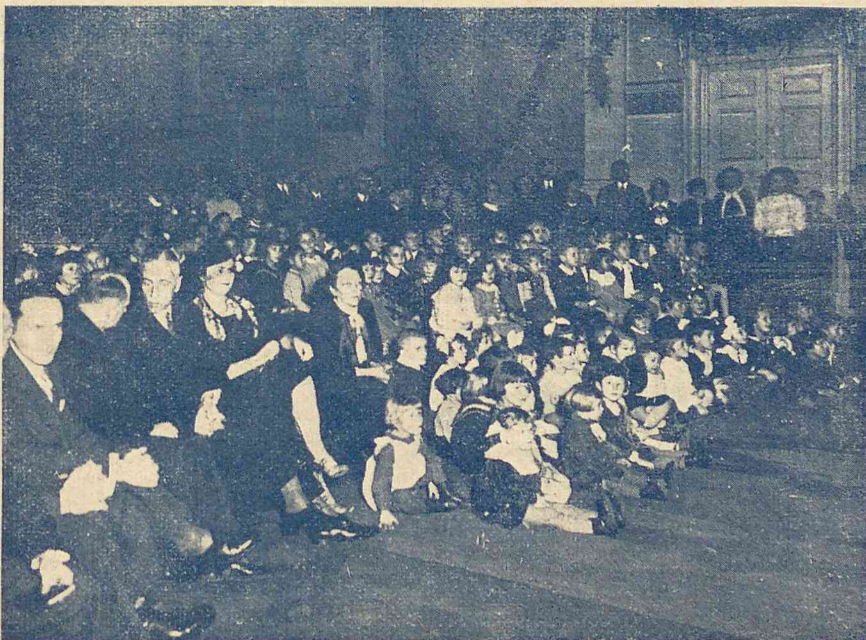
P. min Kühn dokonywa otwarcia pawilonu przy IV ogródku Jordanowskim na Powiślu



Jedna z energiczniejszych działaczek Zarządu Tow. Ogródków Jordanowskich, pani generałowa St. Kuszelewska-Rayska

Dzieci już korzystają z ogródka





zdjęcie obok:
Przyjęcie dla dzieci w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych pod protektoratem p. min. Raczkiewiczowej

O Polsce dla cudzoziemców

Wydawnictwa turystyczne Orbisu.

Na sezon zimowy przybywa corocznie do Polski spora liczba cudzoziemców, zwabionych urokami naszych terenów narciarskich i międzynarodowemi zawodami sportowemi, zwłaszcza doroczny rajd kolejowy wzdłuż Karpat ściąga z zagranicy amatorów tej wyjątkowo pięknej imprezy.

Aby rosła liczba tych amatorów polskiej zimy, Polskie Biuro Podróży Orbis wydaje corocznie specjalną ulotkę propagandową w obcych językach i rozsyła ją po całej Europie.

Tegoroczna ulotka jest bogato ilustrowana pięknemi zimowemi widokami polskich terenów narciarskich i scen sportowych; odznacza się efektownym układem graficznym. Treść, ułożona w formie kalendarzyka, zawiera informacje o najważniejszych wydarzeniach sportowych podczas zimy w Polsce, w językach francuskim, angielskim i niemieckim.

Drugą dziedziną akcji propagandowej Orbisu jest spopularyzowanie zagranicą naszych słynnych miejsc odpustowych z Jasną Górą i Ostrą Bramą na czele. Wkrótce też wyjdzie z druku przy poparciu Wydziału Turystyki Ministerstwa Komunikacji popularna, lecz artystycznie opracowana broszura, w wydaniu rotograwjurowem i z wielobarwną okładką, skomponowaną przez znanego artystę-malarza.

Treść broszury „Z pielgrzymką do Polski" napisał wybitny kapłan, a tłomaczenia na języki obce: francuski, angielski i niemiecki zostały wykonane z pierwszorzędną starannością.

Propaganda pielgrzymek do Polski, już rozpoczęta od roku, rozwija się pomyślnie. Dotychczasowe pielgrzymki z Austrji, Francji, Niemiec budziły duży oddźwięk wśród wiernych tych krajów. W tym roku spodziewane są także pielgrzymki katolików angielskich.

Wreszcie wydał Orbis małą ulotkę, przeznaczoną dla turystów obcych, udających się przez Polskę do Sowietów. Ci turyści „tranzytowi" zatrzymują się z reguły w Warszawie, Orbis zorganizował więc dla nich specjalną informację na dworcach kolejowych, a ulotka wykonana w kilku obcych językach daje zagranicznym przybyszom niezbędne wskazówki o pobycie i zwiedzaniu Warszawy.

Nowe wydawnictwa Orbisu są jednym z przejawów akcji propagandowej, skierowanej na zagranicę przez tę instytucję, która — jako polskie narodowe biuro podróży, wzięła na siebie obowiązek ważny rozwinięcia ruchu turystycznego cudzoziemców do Polski.

×

„Pożądanie" — Nowy film Marleny Dietrich i Gary Coopera.

Nowy film Marleny Dietrich i Gary Coopera nosi tytuł „Pożądanie". Scenarjusz tego filmu został wybrany przez Ernesta Lubitcha, który czuwa nad tem, by Marlena miała dobre role. — Wytwórnia Paramount zupełnie nie liczyła się z kosztami, angażując Gary Coopera do głównej roli męskiej w tym filmie. — Film reżyseruje Frank Borzage, twórca „Siódmego nieba" i „Pożegnania z bronią".

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755
Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel od godziny 11 do 3 pp.
Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzedniem telefonicznem porozumieniu z sekretarjatem. Telefon 2-10-87.

Trylogja z objaśnieniami i mapami zdarzeń

Celem umożliwienia każdemu Polakowi nabycia Trylogji Henryka Sienkiewicza, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich we Lwowie przystępuje do najtańszego jej wydania w formacie kieszonkowym, zaopatrzonego w objaśnienia rzeczowe i językowe.

Spełniając nadto gorące pragnienie wielkiego Pisarza, aby Jego powieści historyczne były uzupełnione odpowiedniemi mapkami, na co za życia autora nie pozwalała cenzura rosyjska, Ossolineum dodaje do każdej części Trylogji niniejszego wydania mapkę historyczną terenu, na którym odbywa się akcja powieści.

Na mapkach tych, dostatecznie wielkich, będą zaznaczone szlaki, któremi odbywały się pochody, wyprawy i t. p. Okładka tomików będzie sztywna, jak w większości książek szkolnych. Kartki będą rozcięte. Na okładce każdego tomiku umieszczony będzie portret Sienkiewicza podług pastelu L. Wyczółkowskiego i facsimile Jego podpisu.

Nadto wydana będzie duża mapa ścienna, formatu 90/100 cm., zawierająca wszystkie miejscowości (około 750) wymienione w Trylogji, a znajdujące się na terenie Rzplitej Polskiej i jej pogranicza.

Każdy, kto wpłaci czekiem P. K. O. Ossolineum Nr. 505.735 15 złotych przed 5 lutego 1936 roku, otrzymywać będzie od dnia 15 lutego 1936 co tydzień, pod podanym przez siebie adresem, jeden tomik Trylogji, przytem 4 mapki historyczne otrzyma bezpłatnie.

Komplet 26 tomików i 4 mapki.

Przy wpłacaniu częściowem (za każdą osobną część Trylogji) cena całości wyniesie 17 złotych, a mianowicie:

Ogniem i Mieczem w 8 tomikach zł. 5.—
Potop w 13 tomikach zł. 9.—
Pan Wołodyjowski w 5 tom. zł. 3.—

przyczem do każdej powieści otrzyma się bezpłatnie mapkę historyczną, która będzie dołączona do 1-go tomiku każdej części.

Przy nabywaniu w księgarniach poszczególnych tomików po 70 groszy cena całości Trylogji wyniesie 18 zł. 20 gr. przytem za 4 mapki należeć się będzie dopłata zł. 2.—, czyli cena całości wyniesie 20 zł. 20 gr.

Te 4 mapki nabywać będzie można oddzielnie za zł. 2.—.

Kto zapłaci gotówką zgóry za 12 egzemplarzy Trylogji, ten otrzyma dodatkowo 1 egz. bezpłatnie.

Instytucje oświatowo - społeczne, stowarzyszenia, szkoły, oddziały, wojskowe, P. W. i t. p., wpłacające zgóry za 100 egzemplarzy, otrzymają dodatkowo bezpłatnie 20 egzemplarzy.

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE!

PRZYNAJMNIEJ TRZEŹWY.



Ja jestem bogaty i bardzo stary. Pani — młoda i piękna. Czy zechce pani w krótkim czasie zostać . . . wdową po mnie?

SŁUŻBOWY STYL REKRUTA



A to pycha! Patrzcie no, to nasz kochany generał!!!

ŚWIAT FILMU

„Daj mi tę noc" — Kiepura i Gladys Swarthout

„Daj mi tę noc" — wielki film muzyczny Jana Kiepury i Gladys Swarthout będzie prawdziwym tryumfem naszego znakomitego rodaka i amerykańskiej gwiazdy.

Kiepura gra rolę młodego śpiewaka włoskiego, którym zainteresowała się znakomita śpiewaczka. Młody rybak po wielu perypetjach dostaje się do więzienia, skąd wydostaje się dzięki protekcji właściciela kabaretu... Droga do wielkiej karjery jest otwarta, młody Włoch występuje na parkiecie, aby w parę miesięcy później porwać całą widownie operową. „Daj mi tę noc" reżyseruje Alexander Hall, twórca „Annapolis".

„RÓŻA" ŻEROMSKIEGO NA EKRANIE.

Jest rzeczą powszechnie znaną, że ostatnio większość filmów czerpie fabułę nie z oryginalnych scenarjuszy, lecz z odpowiednich przeróbek sztuk scenicznych i powieści. Jednak należy stwierdzić, że niekażdy utwór narracyjny nadaje się do przeróbki filmowej. Dobry scenarjusz filmowy da się wykroić tylko z utworu o żywej akcji, ciekawej treści, dramatycznej i zwartej konstrukcji... Niewiele jednak utworów posiada wszystkie wyżej wymienione zalety.

Do nielicznych utworów, idealnie wprost nadających się do przeróbek filmowych należy zaliczyć prawie wszystkie dzieła Stefana Żeromskiego — prominenta polskiej literatury. Ze względu na doskonałe ugrupowanie elementów, nadających się do sfilmowania, są utwory Żeromskiego materjałem, z którego b. chętnie korzystają polscy realizatorzy filmowi. Tem tłomaczy się również fakt sfilmowania tak wielkiej ilości dzieł Żeromskiego. Ostatnio wytwórnia „Libkow-film", która w ubiegłym sezonie wyprodukowała „Młody las", pracuje nad realizacją jednego z najznakomitszych utworów tego wielkiego pisarza polskiego, a mianowicie „Róży".

Film reżyseruje J. Lejtes.

W obsadzie „Róży" znajdujemy nazwiska asów polskiej sceny i ekranu: Eichlerówna, Zacharewicz, Samborski, Junosza - Stępowski, Jaracz, Znicz, Lindorfówna, Cybulski, Damięcki i in.

REDAKTOR *L. CHRZANOWSKI.* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. „Polska Zjednoczona", Warszawa.

RM.